CENA ZŁ 20

Jan Baranowicz — Emilia Sukert-Biedrawina — Franciszek German — Leszek Goliński — Ks. Henryk Weryński

SOPOT
ul. Czerwonej Armii 101
Wyższa Szkoła Handlu
Morskiego Biblioteka

CZYTELNIK

Odra tygodnik

WROCŁAW KATOWICE

NUMER 27 (189) KATOWICE, WROCŁAW, SZCZECIN, OLSZTYN, DNIA 24 LIPCA 1949 ROKU ROK V

22 LIPCA

Dnia 21 lipca 1944 roku wojska marszałka Rokossowskiego sforsowały Bug a w dniu następnym wkroczyły do Chełma. W pierwszym wyzwolonym mieście polskim został nazajutrz przez Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego ogłoszony manifest do narodu polskiego, zaczynający się od słów: „Polacy w kraju i na emigracji! Polacy w niewoli niemieckiej! Rodacy! Wybiła godzina wyzwolenia. Armia Polska obok Armii Czerwonej przekroczyła Bug. Żołnierz polski bije się na naszej ziemi ojczystej. Nad umęczoną Polską powiały znów biało-czerwone sztandary“ — a dalej — „Naród walczący z okupantem niemieckim o wolność i niepodległość stworzył swą reprezentację, swój podziemny parlament — Krajową Radę Narodową. Weszli do Krajowej Rady Narodowej reprezentanci stronnictw demokratycznych — ludowcy, demokraci, socjaliści, członkowie PPR i innych organizacji. Podporządkowały się Krajowej Radzie Narodowej organizacje Polonii zagranicznej i w pierwszym rzędzie Związek Patriotów Polskich i stworzona przezeń Armia. Krajowa Rada Narodowa powołana przez walczący naród, jest jedynym legalnym źródłem władzy w Polsce... Dlatego Krajowa Rada Narodowa, tymczasowy parlament narodu polskiego powołała Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego jako legalną tymczasową władzę wykonawczą dla kierowania walką wyzwoleńczą narodu, zdobycia niepodległości i odbudowy państwowości polskiej...

Dalsze słowa Manifestu zawierały wytyczne pracy PKWN i pierwszy szkic przyszłej Polski Ludowej. Wytyczne te odnosiły się przede wszystkim do trwałego sojuszu ze Związkiem Radzieckim jako jedynym i prawdziwym gwarantem niepodległości Polski Manifest mówił o odstąpieniu zagarniętych przez reżim sanacyjny niepolskich ziem wschodnich i oddaniu ich prawowitym właścicielom Ukrainie, Białorusi i Litwie — natomiast żądał oddania rdzennie polskich ziem nad Odrą i Nysą. W polityce wewnętrznej Manifest gwarantował swobody obywatelskie z tym zastrzeżeniem, że swobody te nie mogą służyć wrogom demokracji. Wielkie przedsiębiorstwa przemysłowe, handlowe, transport oraz lasy powinny być przekazane narodowi, ziemia chłopom. Rozbudowa ubezpieczeń społecznych, rozwój spółdzielczości, przymus i obowiązek powszechnego nauczania, otoczenia ludzi nauki i sztuki specjalną opieką państwa, powrót wysiedlonych, wywiezionych i emigrantów do kraju, odbudowa zniszczeń wojennych — oto główne zadania jakie sobie na przyszłość wytyczył Manifest PKWN. Zadania te były ogromne i na pierwszy rzut oka niemożliwe do wykonania. Wszystko trzeba było zaczynać od początku wśród ruin, zniszczenia, chaosu gospodarczego, zniszczonego aparatu państwowego i pomieszania pojęć dotychczas panujących. Od podstaw. I tak przez pięć lat, godzina za godziną, dzień za dniem, wśród walk i niesłychanych trudności. W przeciągu tych pięciu lat, a więc w bardzo krótkim czasie powstało, skrzepło i stanęło na mocnych posadach nowe Państwo Polskie. Odbudowano domy, miasta, wsie, mosty koleje, fabryki. Puszczono w ruch kopalnie, huty, pracują normalnie urzędy, szkoły, uniwersytety,wychodzą nowe książki, gazety, czynne są teatry, kina, życie wre i kipi od nowych osiągnięć i rekordów pracy. Warszawa dźwiga się z ruin i już dziś nie podobna jest do tamtej Warszawy z dni wyzwolenia. Ludzie są weseli i pełni ochoty do najcięższych wysiłków. Polska wbrew wszystkim wrogom idzie właściwą drogą do lepszego ustroju. Gdyby ująć te wszystkie osiągnięcia, poczęte w małym mieście Chełmie pamiętnego dnia 22 lipca 1944 roku — gdyby je ująć w wykresy i statystyki, byłaby to cyfra tak olbrzymia, tak astronomiczna, że wchodziłaby już w sferę abstrakcji, cudów nieomal. Manifest PKWN okazał się słusznym i wytyczył naszemu narodowi drogę właściwą, drogę jedyną, która wiedzie nas do potęgi, dobrobytu — do socjalizmu. Oto, dlaczego święto 22 lipca jest tak prawdziwe, tak istotne dla każdego patrioty Polaka.

JAN BRZOZA

Z Manifestu

W chwili wyzwolenia Polski, w chwili gdy sojusznicza Armia Czerwona i wraz z nią Wojsko Polskie wypędza okupanta z Kraju, w tym momencie musi powstać legalny ośrodek władzy, który pokieruje walką narodu o ostateczne wyzwolenie.

Dlatego Krajowa Rada Narodowa, tymczasowy parlament narodu polskiego powołało POLSKI KOMITET WYZWOLENIA NARODOWEGO jako legalną tymczasową władzę wykonawczą dla kierowania walką wyzwoleńczą narodu, zdobycia niepodległości i odbudowy państwowości polskiej.

*

Historia i doświadczenia obecnej wojny dowodzą, że przed naporem germańskiego imperializmu ochronić może tylko zbudowanie wielkiej słowiańskiej tamy, której podstawą będzie porozumienie polsko-sowiecko-czechosłowackie.

Przez 400 lat między Polakami i Ukraińcami, Polakami i Białorusinami, Polakami i Rosjanami trwał okres nieustannych konfliktów ze szkodą dla obydwu stron. Teraz nastąpił w tych stosunkach historyczny zwrot. Konflikty ustępują przyjaźni i współpracy, dyktowanej przez obopólne życiowe interesy. Przyjaźń i bojowa współpraca, zapoczątkowana przez braterstwo broni Wojska Polskiego z Armią Czerwoną, winna się przekształcić w trwały sojusz i w sąsiedzkie współdziałanie po wojnie.

*

W imieniu Krajowej Rady Narodowej Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego obejmuje władzę na wyzwolonych terenach Polski. Ani chwili na ziemi polskiej, uwolnionej od najazdu niemieckiego, nie może działać żadna inna administracja prócz polskiej. Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego sprawuje władzę poprzez Wojewódzkie, Powiatowe, Miejskie i Gminne Rady Narodowe i przez upełnomocnionych swych przedstawicieli. Tam gdzie Rady Narodowe nie istnieją, demokratyczne organizacje obowiązane są natychmiast powołać je do życia, włączając w ich skład cieszących się zaufaniem ludności Polaków-patriotów, niezależnie od ich poglądów politycznych.

*

Jednym z najpilniejszych zadań Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego będzie na terenach oswobodzonych odbudowa szkolnictwa i zapewnienie bezpłatnego nauczania na wszystkich szczeblach. Przymus powszechnego nauczania będzie ściśle przestrzegany. Polska inteligencja, zdziesiątkowana przez Niemców, a zwłaszcza ludzie nauki i sztuki zostaną otoczeni specjalną opieką. Odbudowa szkół i szpitali zostanie natychmiast podjęta.

*

Nie można tych zadań urzeczywistnić bez jedności narodowej. Wykuwaliśmy tę jedność w ciężkiej walce podziemnej. Powstanie KRN było wyrazem jej urzeczywistnienia się. Powstanie Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego jest dalszym krokiem na tej drodze.

JÓZEF KLIMEK

GETTO I PARIASI

Gauleiter Sauckel

W miarę zbliżania się końca II wojny światowej w społeczeństwie niemieckim, które dotychczas w masie swojej wyznawało bezkrytycznie piosenkowe credo „Führer befiel, wir folgen Dir“, rosło zaniepokojenie: kto zapłaci rachunek za tę pożogę, zbrodnię czy szaleństwo? Wówczas to powstał w Turyngii niemiecki dowcip polityczny stwierdzający, że mieszkańcy Turyngii nie będą podlegać już żadnym represjom alianckim. Dlaczego? „Myśmy mieli Gauleitra Sauckla“! To była kara wymierzona już przedtem. Osoba Generalnego Pełnomocnika do Spraw Zatrudnienia w Rzeszy i obszarach jej podległych nie była stanowczo popularna ani w opinii Niemców, ani milionów pracujących przymusowo dla Rzeszy robotników Europy. Oddaje to doskonale nieprzetłumaczalna niestety na język polski następująca gra słów, charakteryzująca w dwu słowach pana pełnomocnika, jego aparat wykonawczy i jego system: chodzi o maleńkie przestawienie liter — zamiast „Gauleiter Sauckel“ mówiono trafniej „Sauleiter Gauckel“. Tyle niemiecki dowcip polityczny (Sau — świnia, Gauner — łotr, oszust).

Ofiary pana „Sauleitera“, a wraz z nimi cały świat orzekły zgodnie, że pan Sauckel — to jeden z głównych zbrodniarzy wojennych Niemiec, a jego system — to jedna z najbardziej wyrafinowanych, najprecyzyjniej i z premedytacją dokonanych masowych zbrodni niemieckich ostatniej wojny. Pan Sauckel — został w Norymberdze skazany na śmierć i zawisł na szubienicy. Cały kulturalny świat napiętnował w ten sposób nie tylko zbrodniarza Sauckla lecz osądził również *hitlerowską myśl socjalno-polityczną*, której Sauckel był tylko symbolem, ściślej emanacją i wcieleniem.

Dziwnym zbiegiem okoliczności pierwsza polska poważna, naukowa praca,*) zajmująca się wystawieniem „polskiego rachunku“ dla p. Sauckla, została napisana bez znajomości akt norymberskich, *obejmujących oskarżenie jego osoby*. Rusiński, a pewnie i Instytut Zachodni, są jednak zdania, że byłoby rzeczą niecelową odkładać z tego powodu wydanie pracy. I dlatego praca wyszła, udokumentowana bardzo obszernie (1032 odsyłacze, 1/3 lub 1/2 słowa objętości zajmują teksty przypisów petitowych, oprócz 9-ciu „aneksów“ na 42 stronach, oraz 7 stron wykazu literatury i źródeł), *pozbawiona* jednak — przynajmniej jeśli chodzi o sformułowanie bezpośrednie w części dotychczas opublikowanej — najbardziej dla mniej fachowego czytelnika ciekawej *syntezy socjalno-politycznej*. Nie wiem, czy dokumentacja norymberska cośby tutaj na pewno zmieniła (bo po prostu może chodzić o dobrowolnie przyjęte założenie metodyczne autora), ale zdaje mi się, że problematyka pracy nabrałaby głębszego oddechu, bardzo cenny i niezwykle obfity materiał dokumentacyjny uległby wtedy zgrupowaniu bardziej *merytorycznemu*, a nie formalnemu. Wszystkie tego rodzaju prace mają zresztą olbrzymie trudności konstrukcyjne: muszą same sobie dostarczyć dokumentacji, opracowań monograficznych i dać pewnego rodzaju syntezę. Dwa pierwsze postulaty spełnia praca Rusińskiego znakomicie, kwalifikując się do rzędu publikacyj, zasługujących na udostępnienie ich zagranicy. Syntezy, jak na razie, nie daje, stwarza jednak dostateczne podstawy, aby czytelnik, zwłaszcza znający hitleryzm od tej strony — mógł do niej dojść własnym wysiłkiem, którego n. b. wymaga lektura całej książki. Bo to jest książka-dokument. Analizę i wnioski pozostawił autor czytelnikowi. A może to i lepiej, gdyż problemów, wymagających głębszego przeanalizowania i końcowego uogólnienia, wysuwa Rusiński bardzo dużo, jego spokojny referat zapładnia umysł czytelnika, wywołuje raz po raz to aprobatę, to sprzeciw — zawsze w oparciu o konkretny surowiec źródeł. Tę prowokację autora warto podjąć.

Hitlerowskie prawo pracy

Takie, a nie inne ustosunkowanie się III Rzeszy do pracy robotnika polskiego, jak i do pracy robotników obcych w ogóle, nie było kwestią wojennego przypadku. Korzeniami swymi tkwiło w ideologii politycznej hitleryzmu, a bezpośredni początek wzięło z hitlerowskiego prawa pracy w najszerszym tego słowa znaczeniu i znajdując w nim gotowy aparat organizacyjny i zespół kancelaryjno-personalny ideologicznie, w sensie narodowo socjalistycznym oczywiście, najbardziej dojrzały. (N. b. Rusińskiemu brak moim zdaniem niezbędnej w tym wypadku znajomości *istoty* prawa pracy III Rzeszy.)

Wywodzące się z *antymarksistowskiego* nastawienia koncepcje *nacjonalistycznego solidaryzmu* ruchu hitlerowskiego znalazły swój teoretyczno-prawny wyraz w swoiście pojętym korporacjoniźmie. Różnił się on oczywiście od korporacjonizmu w sensie chrześcijańskim, niewiele nawet łączyło go z wersją korporacjonizmu Mussoliniego. Korporacjonizm hitlerowski miał być nawrotem do germańskiej instytucji „drużyny“ zbudowanej na zasadzie wodzostwa i ścisłej hierarchii: jeżeli jednak zbudowany w średniowieczu na tej zasadzie *feudalizm* wyrastał organicznie z ówczesnych stosunków powszechnej anarchii, stanowił więc koncepcję, a raczej formę ustrojową pozytywną, która potrzebowała dopiero szeregu wieków na *zwyrodnienie i przemianę* w ustrój *wyzysku socjalnego* (głównie pańszczyźnianego chłopa i stanu trzeciego), oraz *rozkładu państwa* (ta cecha została zresztą przekazana na ogół znacznie wcześniej przez absolutyzm monarszy), to *nowy feudalizm Hitlera* — wobec całkowicie zmienionych warunków ekonomiczno-socjalnych, wykluczających na skutek ogromnej koncentracji kapitału i wytwórczości możliwość *bezpośredniego, ludzkiego kontaktu* pomiędzy wodzem i drużyną (tak to miało miejsce w stosunkach pomiędzy suwerenem a wasalem i właścicielem a poddanym) — *prowadził w tempie niezwykle przyśpieszonym do końcowej fazy tej formy ustrojowej, t. j. do przypisania wolnych dotychczas ludzi do ziemi, kopalni i fabryki.*

Właśnie *w tej* koncepcji socjalno-ustrojowej hitleryzmu tkwiła wewnętrzna i rzeczywista *reakcyjność* narodowo-socjalistycznego prawa pracy i narodowo-socjalistycznej gospodarki planowej (gelenkte Wirtschaft i Vierjahresplan), operującej poza tym wcale nowoczesną techniką organizacyjną, co ją czyniło jeszcze niebezpieczniejszą, groźniejszą dla wolności obywateli. Du bist nichts, die Gemeinschaft ist alles — oto szlagier propagandowy tego ustroju. Dla *sparaliżowania ideowego* jakichkolwiek *jawnych* prób oporu przeciwko realizacji tego systemu i kryjącego się za nim wyzysku, uknuto pojęcie „Betriebsgemeinschaft“ i zorganizowano ją na zasadach żelaznej dyscypliny, pilnowanej nadto przez „Obmanna“ z Frontu Pracy i odpowiedniego rangą (zależnie od wielkości przedsiębiorstwa) „Leitera“ — „suwerena“ (Hoheitsträger) partii narodowo-socjalistycznej. Dla *usunięcia okazji do wszczęcia walki socjalnej* klasy robotniczej ze stojącą za partią kliką wielkoprzemysłową i junkierską połączono te dwa obozy we *wspólnym* Froncie Pracy, *zlikwidowano system układów zbiorowych pracy* na rzecz wydawanych autorytatywnie przez Powierników Rzeszy do Spraw Pracy t. zw. ordynacji taryfowych. Były to ordynacje bardzo rygorystyczne, kierujące się jedynie i wyłącznie interesami ogólnej polityki *walutowej* III Rzeszy, zmuszonej na skutek nakręcania koniunktury zbrojeniowej do stałej *walki z widmem inflacji*, dlatego ustalane przez nie płace były płacami *maksymalnymi*, których zasadniczo nie wolno było przekraczać, podczas gdy np. w Polsce układy zbiorowe ustalały jedynie płace *minimalne*, ponad które można się było dowolnie umawiać! *Tu tkwiła istotna różnica* pomiędzy ustrojem *płac* (a nie pracy — jak twierdzi Rusiński) w Niemczech i Polsce.

W konsekwencji musiało hitlerowskie prawo pracy — wobec *utrzymania i małej atrakcyjności płac* — na drodze przymusu uniemożliwić konkurencyjny werbunek pracowników z jednej strony, oraz *zwiększyć podaż sił do pracy* z drugiej strony. *Dlatego powstał Arbeitseinsatz w miejsce „Arbeitsvermittlung“, przymusowa gospodarka istniejącym obiektywnie zasobem sił roboczych w miejsce pośredniczenia do pracy subiektywnie do niej gotowych, chętnych do jej podjęcia zarejestrowanych bezrobotnych albo szukających innego miejsca zatrudnienia pracowników. I to jest i była istotna różnica pomiędzy ustrojem pracy w Polsce i III Rzeszy.* (U Rusińskiego jest to tylko „podkreślenie wzrastającej roli państwa w gospodarce siłami roboczymi“!). Prostą już tylko konsekwencją tego już stanu rzeczy było wprowadzenie przymusu posiadania książki pracy (1935—39) oraz rozporządzenie o ograniczeniu zmiany miejsca pracy (1. 9. 39 — AWVo) i wcześniejsze jeszcze rozporządzenie z 1938 i 1939 o t. zw. „Notdienstpflicht“ i „Dienstpflicht“.

Polskie getto

Jakie było oblicze socjalne hitleryzmu na użytek *wewnętrzny*, taki rygoryzm i bezwzględność wobec *własnej ludności niemieckiej*, o czym zresztą po niewczasie przekonali się na własnej skórze zbiegli przed wybuchem wojny z Polski do Niemiec Volksdeutsche, zmuszeni natychmiast do podjęcia nieraz bardzo ciężkich i prymitywnych robót fizycznych, np. przy pracach ziemnych, fortyfikacyjnych i t. p. (Gdyby Rusiński o tym pamiętał, uniknąłby zbędnych i zgoła *fałszywych* uogólnień o specjalnie antypolskim akcencie i typowej antypolskości przepisów *powszechnie w Rzeszy obowiązujących*, np. na str. 120 i 121). Natomiast aż się prosiło w tym miejscu stwierdzenie faktu, znanego już z walki hitleryzmu, zresztą Niemiec w ogóle, z mniejszością polską na terenie Rzeszy i b. W. M. Gdańska, że ustrój formalno-prawny państwa niemieckiego, a zwłaszcza III Rzeszy, stanowił doskonały walec miażdżący życie polskie, bez jakiegoś ustawodawstwa specjalnego czy naruszenia istniejących konwencji mniejszościowych. Właśnie ta „likwidacja i terror *mimochodem*“ stanowiły broń najniebezpieczniejszą i propagandowo nie do zaczepienia. Jeżeli więc hitleryzm reprezentował taki styl polityki pracy wobec Niemców, to nie było żadnych podstaw do przypuszczenia, aby miał łagodniej wystąpić na terenach i wobec robotników podbitych, a w szczególności polskich. Wszystko zależało teraz od *treści politycznego nastawienia hitlerowców* wobec danego narodu, w wypadku polskim — od *szowinizmu wszystkich Niemców*. Praca Rusińskiego dostarcza nam w tym kierunku bardzo wiele materiału, z którego możemy sobie urobić obraz wielostronnego i zawsze jednakowo nienawistnego dążenia do wytępienia polskości. Tak jest — polityka pracy Niemiec wobec robotników polskich była *polityką ludobójstwa:* „Cel *każdej* polityki niemieckiej w stosunku do Polaków jest zupełnie jasno sprecyzowany. Polaka jako siłę roboczą należy tak długo wykorzystywać, jak długo jest potrzebny, a następnie pozostawić sobie samemu, i to tak, aby rzeczywiście był skazany tylko na swoje własne niedostateczne siły i nie był już w możności wydźwignąć się ludnościowo i politycznie przy obcej, szczególnie niemieckiej (!) pomocy. Wszelkie posunięcia, które w jakikolwiek sposób wychodzą Polakom na korzyść, sprzeczne są z tą linią polityczną. Zachowanie więc siły roboczej *stanowi punkt widzenia, który wprawdzie dzisiaj ma wielką wagę, ale na linii wytycznej nie może w ogóle zaważyć*“ — stwierdza memoriał programowy z dnia 30. 7. 1941 r. pióra dra Coutana, kierownika urzędu dla spraw polityki narodowościowej przy Greiserze (tekst pisany kursywą jest u Rusińskiego przetłumaczony odmiennie, nieściśle łagodząc myśl autora memoriału).

Realizacja tak pobożnych życzeń wymagała stworzenia dokoła Polaka i polskości szczelnej izolacji wypróbowanej już w Niemczech na Żydach: stworzono formalnie i moralnie polskie ghetto, stawiając Polaków poza nawias społeczeństwa i człowieczeństwa. I tak przede wszystkim postawiono zasadę, że „*Polak nie należy do t. zw. społeczności przedsiębiorstwa* (Betriebsgemeinschaft)“. Tak samo w rolnictwie: „Polak musi pozostać poza wspólnotą gospodarską i rodzinną“. „Niewolnicza natura Polaka wymaga, aby zawsze czuł nad sobą pana ...“. We wstępie do zarządzenia z dn. 5. 10. 1941 r., regulującego generalnie „traktowanie robotników polskich w dziedzinie prawa pracy“, „potrzeba odrębnych przepisów dla Polaków umotywowana jest tym, że Polacy nie mogą bez przeszkód uczestniczyć w postępie społecznym nowych Niemiec. W imię tej zasady odmówiono robotnikom polskim wszystkich uprawnień, którymi robotnicy krajów europejskich cieszyli się dawno przed dojściem do władzy Hitlera ...“

Robotnika polskiego w Niemczech obstawiono szeregiem zakazów i nakazów: a) zakaz wychodzenia z domu w godzinach nocnych; b) zakaz używania publicznych środków komunikacji; c) zakaz uczęszczania na niemieckie zebrania kulturalne, religijne i towarzyskie; d) zakaz uczęszczania do restauracji i jadłodajni; e) *nakaz noszenia znaku „P“*; f) zakaz przestawania z ludnością niemiecką. Dnie 4. 12. 1941 r. wydano prawo karne dla *Polaków i Żydów*, a jeszcze w kwietniu 1944 r. poświadczył Himmler, że „poszczególne dekrety i rozporządzenia, wydane na obszarze Rzeszy celem *uregulowania stosunków życiowych Polaków, Żydów i Cyganów*, powodowały częstokroć publiczne sumaryczne zestawienie tych grup na rozplakatowanych zakazach sprzedaży względnie zakazach wstępu, w publicznych obwieszczeniach, w prasie i t. d.“. A w „kraju Warty“ instruowano pracodawców niemieckich: „...przy dodatkowym wynagrodzeniu ich (sc. Polaków) za wydajną pracę nie należy popełniać błędu, który popełnia się, dając *Murzynce tom sonat Beethovena zamiast kolorowych paciorków*... można Polakom przy wydajnej pracy od czasu do czasu udzielić pochwały lub dać napiwek, ale tak, jak pan daje go parobkowi“.

Ulotka berlińskiego Volksbundu, powołując się na „krwawą niedzielę“ w Bydgoszczy i inne „cierpienia“ Niemców w Polsce, zwracała się do wszystkich Niemców: „...für uns als Deutsche gibt es *keinen anständigen Polen*, genau *so wenig wie einen anständigen Juden*... Deutscher! der Pole ist niemals Dein Kamerad! Er steht *unter jedem Deutschen Volksgenossen* auf Deinem Hofe oder in deiner Fabrik...“

Nienawiść do polskiej inteligencji

Niemcy hitlerowskie przejęły w całej rozciągłości zasadę wyznaczoną już dawniej przez kierowników niemieckiej polityki narodowościowej, że za *najniebezpieczniejszych wrogów należy uważać Polaków, władających biegle językiem niemieckim*... Przejawy megalomanii narodowej ...(Niemców)... sprawiały niekiedy wrażenie wręcz humorystyczne. Powtarzano im wytrwale, że Niemcy są narodem panów, że najgłupszy pracownik niemiecki jest dziesięć razy więcej wart, niż najmądrzejszy polski fachowiec... Zdarzało się czasem w toku pracy, że Polak okazał w sposób nie podlegający dyskusji większy zasób inteligencji czy wiedzy fachowej, niż zatrudniony z nim razem pracownik niemiecki. W takich wypadkach Niemcy wpadali często we wściekłość; tym samym bowiem pracownik polski psuł ustalony porządek rzeczy, wprowadzał zamieszanie do urzędowych poglądów i zasad, śmiał być innym niż go przedstawiła propaganda partyjna...“

Mimo wszystko jednak Niemcy zmuszeni byli korzystać z usług polskiej inteligencji (motyw w pracy Rusińskiego słabo rozpracowany) i często jej wyższość uznawać. Jeden z cytowanych przez Rusińskiego pamiętnikarzy pisze, że „w indywidualnych rozmowach z poszczególnymi Niemcami... niejeden z nich musiał z przykrością skonstatować, że daleko jest do dorównania poziomem umysłowym prowadzącemu rozmowę (sc. Polakowi). To wyczuwaliśmy, i *bynajmniej nie zależało nam na tym, aby im w czym zaimponować*...“ Właśnie, nie zależało im, czy aby słusznie? Czyśmy w ten i podobny sposób nie *zmarnowali* w czasie wojny wielokrotnych okazji do *indywidualnego pokonania mentalności niemieckiej?* Czyśmy nie zapomnieli, że po wojnie nastąpi znowu pokój, że Niemcy mimo wszystko pozostaną naszymi sąsiadami, że wtedy... Niestety, Rusiński nie rozpracowuje tego zagadnienia w ogóle, a ramy niniejszego artykułu nie pozwalają na szersze omówienie zagadnienia. A szkoda! Lekcję okupacji winniśmy wyzyskać w 100 proc.! I wyjść poza kategorię rozumowania o odmrożeniu palców... sobie na złość!

Zwartość Polaków

Masa objętych rozważaniami Rusińskiego Polaków składała się (wg stanu z 30. 6. 44.) z ca 1.400 tys. osób na terenie Rzeszy (w tym 41,8 proc. w niemieckich prowincjach wschodnich, a 58,2 proc. w pozostałych częściach Rzeszy) oraz ca 2.060 tys. osób na t. zw. terenach wcielonych, czyli razem ca 3.450 tys. osób, zaprzągniętych niewolniczo do pracy w służbie niemieckiej machiny wojennej i niemieckiego Herrenvolku. Wychodząc ze spornych zresztą założeń, Rusiński nie uwzględnił w tym obliczeniu ani więźniów obozów koncentracyjnych, ani (co już jest całkiem nieuzasadnione) t. zw. Polaków „zniemczonych“! W rezultacie przedstawiona przez niego część bilansu wyzysku obcych sił roboczych przez Niemcy jest niekompletna, wręcz fałszywa i dla interesów polskich szkodliwa (jak ma wtedy wyjść rachunek strat wojennych z wyzysku pracy i z tytułu ubezpieczeń rodzinnych?!).

Masę tę traktowano na terenie Niemiec w sposób, który na *długo winien wymazać imię niemieckie z listy narodów kulturalnych* świata, obciążając w zasadzie cały naród niemiecki (znowu interesujący problem odpowiedzialności narodu niemieckiego za tę stronę rzeczywistości okupacyjnej, w której naród ten miał stosunkowo wielką swobodę, a więc nie może się powołać na powszechny przymus i terror! Cytowane przez Rusińskiego wyjątki indywidualne i grupowe zdają się z góry potwierdzać naszą tezę!) Robotnik polski był przedmiotem formalnych targów niewolników, a jeżeli stracił w Niemczech życie, to „na koniec *grób jego wyłączono* nawet *spod skromnej opieki*, jaką ze względów propagandowych otaczano groby zmarłych... innych robotników zagranicznych“.

Niedożywiony, źle ubrany, fatalnie wynagradzany, często bardzo socjalnie *zdeklasowany* (znowu problem do omówienia!) zaszczuty przez policję, Arbeitsamt, partię i pracodawcę oraz niemieckich towarzyszy pracy, robotnik polski bronił się, a nade wszystko zachował postawę nie pariasa i niewolnika, jak tego pragnęli Niemcy, ale człowieka wewnętrznie wolnego, wiernego swej Ojczyźnie: Durch unsere Volkstumspolitik haben wir dazu beigebracht, dass wir den Hang zur Uneinigkeit bei den Polen nicht bestärken, sondern sie zusammengetrieben und einiggemacht haben. Niemców berlińskich ostrzegano, aby w stosunkach służbowych z Polakami zawsze pamiętali, że „...der Hass der Polen heute grösser ist denn je, dass der Pole im Volkstumskampf weit grössere Erfahrungen hat... und dass *er immer noch daran glaubt, mit Hilfe unserer Feindmächte ein neues, grösseres Polen aufrichten zu können...*“

...Polacy pracujący w czasie wojny na terenach Ziem Zachodnich i Rzeszy — konkluduje Rusiński — tworzyli warstwę odrębną nie tylko pod względem narodowościowym, ale i społecznym, a walka narodowościowa miała tu jednocześnie charakter walki klasowej. Stąd też znajomość bytu i warunków pracy robotników polskich stanowić musi podstawę do zrozumienia polskiej kwestii społecznej w latach ostatniej wojny.

Pro Silesia

Na zakończenie kilka sprostowań *dotyczących Śląska. I zastrzeżeń!* Praca Rusińskiego opiera się głównie na materiale dotyczącym tak zw. okręgu Warty i Pomorza. Jeżeli chodzi o Śląsk — to główne źródło stanowi niemiecki t. zw. Memoriał Górnośląski, który — rzecz jasna — mimo całej swej rewelacyjności stał na gruncie formalnym niemieckiej polityki germanizacyjnej na Śląsku.

I tak: wolno autorowi pamiętnika z Gliwic pisać o Polakach śląskich, wpisanych na III lub IV grupę Volkslisty, że „na ogół nie lubiliśmy ich dla samego faktu zdrady narodowej(?!) ...taki zawsze Polakowi szkodził, mimo iż w oczy mówił dobrze...“, bo miał słabe wyobrażenie o problemie i małą możność obserwacji, ale *nie wolno było Rusińskiemu puścić tych pamiętników do druku*, i to w *tekście*, a nie w odsyłaczu, *bez wyjaśniającego komentarza*. A może Rusiński też jeszcze tego nie rozumie? bo gdyby rozumiał i cenił wagę polityczną swego drukowanego słowa (z zasiłku Prezydium Rady Ministrów!), to by nie mógł przeciwstawić „Polaków we *właściwym tego słowa znaczeniu*“ (str. 295, 296) Polakom zapisanym na listę niemiecką! Dzisiaj, po czterech latach wyjaśniania i ustawowego uregulowania tej sprawy! A w *jakim* tego słowa znaczeniu są ci ludzie Polakami?! Szkoda, że akurat z ośrodka poznańskiego wyszła taka niespodziewana „dywersja“ dla polityki narodowościowej Śląska.

JÓZEF KLIMEK.

*) Władysław Rusiński: Położenie robotników polskich w czasie wojny 1939—1945 na terenie Rzeszy i „obszarów wcielonych“. Część I. Poznań, Instytut Zachodni 1949, w cyklu: „Badania nad okupacją niemiecką w Polsce“, t. III.

Aleksander Ziemny

W pełni dnia

Jak chorągwie łopoczcie
wzorzyste krawaty,
czupryny zmierzwione,
ramiona kosmate.

Bijcie światłem w ulice
białe perły uśmiechów,
roztańczone źrenice,
smugi czystych oddechów.

Z wiru przemian i zdarzeń
mkną cyfrowe raporty,
rosną po liniach marzeń
ludzie, mosty i porty.

*

Z ciemną skazą na czole,
dzieci niedobrych losów —
okupiliśmy prawo
do dojrzałych owoców.

Chleb jest w świecie za drogi,
droższy od krwi przelanej —
inwalido beznogi
powiedz wprost oszukanym,

powiedz dalekim braciom
że jest ogród dla wszystkich
gdzie za równą opłatą
można jeść z pełnej miski

(a w alejach bezpłatnie,
jak czerwone ulotki
rozdaje się pocałunki
gorące i słodkie.)

Stanisław Piastowicz

Przypływ

Oto wróciłem do was
stanąłem pośrodku serc waszych
jak gałąź oliwna na
triumfalnych łukach
skargi wasze niech spopieli
płomienny strumień
oto jesteście swobodni
słuchajcie drzew
i nie ukrywajcie zachwytu

a wy samotni i zasmuceni
unieście swe ciała
ponad spalone wargi
oto płynie lawina wolności
poprzez kontynenty zapory
- nienawiści
poprzez kolorowe granice
dudni lawina gwiazd
przed nowym dniem
w którym przekreślimy słowo
wróg
słowo zbrodnia i słowo wojna

nad brzegi modrego morza
pójdziemy
o jaki radosny pluszcze przypływ
miłość powraca
płynie lawina wolności

LESZEK GOLIŃSKI

DROGA DO ŚWIADOMOŚCI

Artykułu „Droga przez barykadę" część druga

Lewicowa dziecinada

26 października podał się Ludendorf do dymisji. Niemcy przebiega gorączka jaka nawiedza ciężko chore organizmy. Dzienniki krzyczą tłustymi tytułami, kobiety stoją przez noce w kolejkach po chleb, kwitnie kradzież i prostytucja. Klęska staje się czymś namacalnym, choć nieuświadomionym: jak olbrzym, przytłaczający szarość dni powszednich, wisi nad każdym, napawa niewytłumaczalnym lękiem. Budzą się ruchy rewolucyjne: robotnicy rzucają pracę, mnożą się strajki i manifestacje. Socjaldemokracja dopuszcza się jaskrawej zdrady: dowodzi przez udział w reakcyjnych rządach, jak daleko odbiegła od ideologii, jak obca jest ruchowi robotniczemu. Socjalistyczny deputowany, David oświadcza publicznie, że abdykacja cesarza Wilhelma II złamie ruchowi republikańskiemu kręgosłup: cynizm albo naiwna wiara, że przez usunięcie jednego ciemiężyciela zmieni się świat. Cynizm tym boleśniejszy, że jawny, że bezwstydny, że noszący rzekomo maskę demokratyzmu.

Mijały dni, pełne szalonego wprost napięcia. Wilhelm II zdaje egzamin ze swej klasycznej głupoty i z dziecinnym uporem uchyla się od abdykacji, choć żądają tego od niego wszyscy. Zagrzebany w Spa, oddaje się rąbaniu drzewa i wykładaniu pasjansów. Foch następuje na pięty obdartym armiom niemieckim. Trzeba działać. Trzeba działać natychmiast.

3 listopada, w chmurny i deszczowy poranek czerwone sztandary zakwitły na murach Kilonii i na masztach dumnych, choć bezwładnych pancerników. Marynarze ze śpiewem na ustach przeciągają ulicami, burżua zamykają trwożnie sklepy. Wieść szerzy się jak błyskawica: w dwa dni później rewolucja ogarnia Lubekę, nazajutrz Hamburg, Altonę i Cuxhaven. Siódmego listopada rewolucyjne Monachium usuwa dynastię Wittelsbachów i proklamuje republikę ludową. Powracające z frontu wojsko brata się z manifestującymi tłumami, tworzą się rady żołnierskie, zdenerwowani oficerowie obcinają srebrne epolety. Klęska jest gorzka, ale smakuje, jak wolność. Wolność nieprzeczuwana, inna, niż bogoojczyźniane komunały.

Już czas z chaosu wyłonić nowy ład. Rewolucja październikowa w Rosji daje wspaniałe przykłady, jak zdecydowanie, konsekwentnie dążyć do celu. Cały kraj wytrącony z normalnego trybu życia, czeka z niepokojem, radością i lękiem na coś, czego nie można określić. Jedno jest pewne: wojna się kończy. Ojcowie, mężowie i bracia wrócą do domu. Odnajdą się zgubione rodziny. Będzie znów chleb. Będzie pokój. Będzie praca.

9 listopada wielki, dobrze zorganizowany strajk powszechny, proklamowany przez niezależnych socjalistów, ogarnia Berlin. Huczą syreny fabryk. Na wiecach rzuca się hasło: „Żądamy nie abdykacji, lecz republiki". Masy proletariatu ruszają do walki klasowej, walki o sprawiedliwość społeczną, są uświadomione i zdyscyplinowane. Zwycięstwo przychodzi nadspodziewanie szybko: już o godzinie 11,30 przed południem Maksymilian badeński, którego nazywa się po prostu „bademaxem", publikuje komunikat o abdykacji cesarza Wilhelma II, nie porozumiewawszy się nawet z nim uprzednio. Z cesarzem nikt już się nie liczy. O 14 Scheidemann ogłasza zgromadzonym tłumom republikę, a Bademax składa dymisję na ręce Eberta.

Wieści te paraliżują cały kraj. W decydującym momencie jednak brak proletariatowi Berlina i całej republice niemieckiej zorganizowanej, sprężystej partii robotniczej, brak kierownictwa. Rządy ujmuje w swe ręce socjaldemokratyczna partia Niemiec. W przemysłowych okręgach górę biorą komuniści, spartakiści. Rychło wyłania się z nich odłam skrajnie radykalny, o którym pisze Lenin w swojej książce „Dziecięca choroba „lewicowości w komuniźmie":

„Komuniści niemieccy nazywają siebie nie „lewicowcami", lecz — jeżeli się nie mylę — „opozycją zasadniczą". Jednakże fakt, że dają się u nich wyraźnie zaobserwować oznaki „dziecięcej choroby lewicowości", stanie się widoczny z dalszego wykładu.

Broszurka „Rozłam Komunistycznej Partii Niemiec (Związek Spartakusowców), wydana przez „grupę lokalną we Frankfurcie nad Menem" i będąca wyrazem stanowiska tej opozycji, w najwyższym stopniu plastycznie, ściśle, jasno i zwięźle wyłuszcza istotę jej poglądów."

Następują cytaty. Zawierają one pytanie, kto powinien sprawować dyktaturę — Partia Komunistyczna czy klasa proletariacka. Zawierają zastrzeżenia, że zagadnienie panowania Partii Komunistycznej i dyktatury partii jest tylko zagadnieniem taktyki. Zawierają projekt utworzenia dwu partii — partii przywódców i partii mas.

„Cóż to za lewicowa dziecinada!" — woła Lenin.

Uzmysłowienie sobie rozłamu w ruchu robotniczym jest kluczem do rozwiązania tragicznej zagadki rewolucji niemieckiej.

Brak konsolidacji sił, oscylacja między skrajnym oportunizmem socjaldemokratów, idących na pasku burżuazji i magnatów przemysłowych, a lewicową dziecinnadą radykalnej frakcji spartakusowców, przynoszącą poważne szkody — osłabiły siły rewolucji. Brak jej było programu i przywódców. Brak konsekwencji. Napływające oddziały z frontu, ogłupiałe, tęskniące do domów, nie orientujące się jeszcze całkowicie w sytuacji, witane były przez zbuntowane garnizony kulomiotami. Brat podejrzewał brata. Krzykacze wiecowi przyczyniali się do siania zamętu. Nie żałując pieniędzy i wysiłków, zatrwożona burżuazja niemiecka szukała gorączkowo drogi wyjścia. Nie można było z ruchem robotniczym walczyć wprost — należało rewolucję rozsadzić od wewnątrz.

Nienawiść oddziałów frontowych zwróciła się przeciw oficerom. Widziano w nich nie bez racji awangardę militaryzmu i feudalizmu pruskiego. Demoralizacja frontowa rozluźniła żelazne tryby armii.

Na nowo w mundurze

Echo tych lat odbija się na kartach drugiej, wstrząsającej powieści Renna **„Po wojnie".**

Krytyka lat międzywojennych nie wydobyła z tego dzieła jego najbardziej wartościowych momentów. **„Po wojnie" — to wzruszająca spowiedź człowieka, postawionego sam na sam wobec wydarzeń dziejowych, których nie rozumie.** To jego ustawiczna, codzienna, uporczywa walka z samym sobą, z małomieszczańskimi przyzwyczajeniami, to próba syntezy tragizmu rewolucji niemieckiej, przedstawionej nie od strony sztabów partyjnych, ale od strony człowieka, któremu kazano rewolucję tę tłumić w najbardziej perfidny sposób.

W przepełnionym transporcie wojskowym, udekorowanym czerwonymi flagami, wraca Renn z frontu. Nie jako bohater, choć posiada Żelazny Krzyż i liczne blizny po ranach. Nie jako zwycięzca. Wraca i patrzy szeroko rozwartymi oczyma na swoją ojczyznę, której ani nie poznaje, ani nie rozumie.

„— Jestem socjaldemokratą od roku 1908 — mówi do niego strzelec Steiner.

— A pomimo tego jesteście za utrzymaniem wojska z oficerami? — pyta Renn.

— Oczywiście. Musimy mieć porządek. W przeciwnym wypadku górę wezmą młode, nieodpowiedzialne elementy. Poza tym należę do umiarkowanych socjaldemokratów.

To nie wydawało mi się jasne. Dotychczas sądziłem, że socjalista, to znaczy socjalista (Sozi ist Sozi). Aż tu nagle wpada mi w ucho słowo, którego dotychczas nie słyszałem.

— Socjalista cesarski? — pytam."

Stał się niespokojny. „Socjalistów cesarskich nie ma w ogóle."

Powoli poznawał Renn prawdę. Trudna to była i ciężka droga, która zawiodła go na drugą stronę barykady.

Problemy stają się coraz trudniejsze, coraz bardziej niezrozumiałe. **„Kautsky dowodzi — mówił innym razem pisarz kompanijny do Renna — że nie powinno się więcej walczyć, lecz pozostawić wszystko dalszemu rozwojowi spraw. Mamy już dosyć strzelaniny i wiecznego podniecenia, w którym żyjemy. Ale jeszcze z tego nie wynika, żeby ta teoria o pokojowym rozwoju miała być słuszna."**

Renn wstępuje do socjalistycznych wojsk bezpieczeństwa, w rzeczywistości jako kapitan, na kartach powieści, jako sierżant. Paraduje z czerwoną opaską na ramieniu i broni burżuazyjnych pałaców przed komunistami. Patrzymy jego szeroko rozwartymi oczyma na krwawe wypadki berlińskie w dniach od 6 do 11 stycznia 1919. Słyszymy wstrząsającą relację o śmierci Róży Luksemburg i Karola Liebknechta, zamordowanych rękoma siepaczy gubernatora Berlina, Gustawa Noskego. Patrzymy na odżywanie Reichswehry, na różne pseudopolicyjne organizacje, służące tylko do tłumienia ruchów rewolucyjnych. Rewolucja dławi się jałowym gadulstwem i salwami „wojsk bezpieczeństwa". Kwietniowa republika komunistyczna w Monachium stłumiona zostaje krwawo, gdy jednocześnie niemal odgrywa się farsę z „tłumieniem" puczu Kappa. Oficerowie przestają się kryć, wyłażą ze swych schowków, paradują znowu po ulicach. Po wyborach do konstytuanty w styczniu 1919 r., które były jedną wielką komedią, większość zdobywają oczywiście socjaldemokraci, wygodne narzędzie niemieckiej burżuazji. Republika weimarska w sierpniu tegoż roku proklamuje nową konstytucję republikańską. Z wielkiej chmury upadł mały deszcz. Po salwach na placach do tłumów, po czerwonych sztandarach, po powodzi słów — przyszła kolej na płaszczenie się przed baronami węglowymi, na schlebianie junkrom, na reformizm, na oportunizm. W sztandarze cesarstwa zmieniono tylko jedną barwę, z białej na złotą. Zamiast wywłaszczenia junkrów — wywłaszczono tylko nieużytki i tereny bagniste, jakby na ironię oddając je tym, którzy nie mieli żadnych możliwości, aby je osuszyć i uprawić. 23 czerwca 237 głosami przeciw 138 przyjęto „dyktat wersalski". W imieniu rzeszy niemieckiej podpisali go: socjalista Hermann Mueller i centrowiec Jan Dell.

Renn widzi rosnące bezrobocie i nędzę mas proletariackich. Wie, że nie ma dla niego drogi wyjścia, że musi dalej nosić nienawistny mundur. Zgłasza się więc do policji.

Magnaci przemysłowi Niemiec już zupełnie jawnie i bezceremonialnie przekupują oddziały bezpieczeństwa. Minister wojny republiki weimarskiej na którymś z zebrań (ile ich było?) bezwstydnie oświadcza delegatom rad żołnierskich:

„Udało nam się wydostać coś od syndykatu węglowego. Wmówiliśmy mu, że obsadzenie zagłębia leży w jego interesie, wobec czego powinni także uczynić coś dla naszego wojska. Dali nam nieco pieniędzy. Zapraszam więc wszystkich na bankiet..."

Cesarskie nocniki i proletariacka bieda

Trudno wprost uwierzyć, aby masy żołnierskie tak bezkrytycznie i ślepo szły na pasku burżuazji, wykonując jej zlecenia. Trudno pojąć, jak można było zmarnować w tak beznadziejny sposób entuzjazm mas, siły potencjalne rewolucji, jak można było tak przegrać klęskę. Psychologia narodu niemieckiego zarysowuje się z całą wyrazistością na kartach powieści Renna. Ukazuje on nam w sposób plastyczny i sugestywny bezimienny tłum, zmęczony wojną, łatwo poddający się każdej silniejszej indywidualności, mimo woli stający na baczność przed oficerami. Ci ludzie nie nabyli jeszcze rzeczy najcenniejszej dla każdej rewolucji: świadomości klasowej. Ci ludzie nie zrozumieli sensu rewolucji, ani celu, do jakiego ona prowadzi. Byli oślepieni, znudzeni i wygłodniali. Tonęli w szarzyźnie życia i trosk. Hasła rewolucyjne grzebali w kartkach żywnościowych, w dodatkach rodzinnych, w ramionach kochanek.

Nieliczni tylko zdają sobie sprawę z całej grozy sytuacji. **„Minister wojny** — mówi do Renna na wspomnianym już bankiecie delegat marynarzy — **pod hasłem „rewolucja w niebezpieczeństwie" tłumi w zarodku każdą próbę rzeczywistej zmiany naszego cuchnącego porządku społecznego".**

Oto dziwne czasy: w kawiarniach strojni panowie i wydekoltowane panie spijają mokkę, na ulicach stoją ludzie, szaro ubrani, w kolejkach po chleb i naftę, prężą się lokaje w liberiach w pałacach książąt, w kościołach wznosi się modły za rekonstrukcją monarchii, za nocniki cesarskie płaci się zawrotne ceny, wystarczy tylko powiedzieć, że korzystali z nich najjaśniejsi państwo, a jednocześnie w piekarniach sprzedaje się ciastka z pestek. Nędza i luksus, zbytek i głód, cnota i przestępstwo — wszystko to miesza się w jakimś dziwnym kalejdoskopie. Wachmistrz policji Renn niedowierzająco patrzy na nowoczesne działa, jakich armia nie posiadała na froncie. Poco policji ciężkie haubice? Darmo szukalibyśmy odpowiedzi na kartach powieści rennowskiej: dostarczy nam jej historia.

W decydującym momencie zachodzi jednak przełom w duszy Renna. Wzruszająca, wielka autobiografia, spowiedź człowieka, zagubionego w chaosie wypadków, dobiega końca. Wysłany z oddziałem do miasteczka, w którym władzę zagarnęli robotnicy, nie wydaje rozkazu otwarcia ognia, pozwala na rozbrojenie swego oddziału. Tego już za wiele oficerom. Nie można Renna zwolnić odrazu — obowiązują przecież jeszcze jakieś pozory. Przeniesiony do biura werbunkowego policji, Renn sumuje swoje doświadczenia i zdobywa z takim trudem okupiony egzamin dojrzałości politycznej.

Moment jasnowidzenia nawiedza go w czasie odwiedzin u pułkownika policji. Wpada do niego w tym samym czasie prokurator Rebentropp, aby zdać zdyszanym głosem relację, żądając posiłków policyjnych:

„Podporucznik miał polecenie swej komendy przedsięwziąć coś wspólnie z komunistami. Niestety, nadużył swych pełnomocnictw. Stanął na czele jednej z band. Zajechali w aucie ciężarowym pod willę jakiegoś fabrykanta i wymusili pod presją pieniądze. Podporucznik zatrzymał je dla siebie. Musimy go natychmiast uwięzić, bo istnieje obawa ucieczki..."

Wyznanie to oślepia Renna. **„Z urzędu inscenizowano napady na fabrykantów — woła oburzony — aby je zwalić później na komunistów."**

Po siedmiu latach życia — poznanie

Wiosna narodu niemieckiego mija szybko i bezpowrotnie. Szansa została przegrana. W piwnicach monachijskich, w mieście, gdzie proklamowana została jedyna w historii Niemiec republika radziecka, rodzi się już brunatne szaleństwo nazizmu. Rząd weimarski sprzyja mu po cichu, oceniając siłę, widząc w nim mniejsze zło dla klas posiadających. Gen. Seeckt szkoli nową armię niemiecką: 100.000 Reichswehry, 150.000 policji. 12 sierpnia 1923 r. kanclerz Gustaw Streseman, mózg reakcji niemieckiej, przymrużając jedno oko, mówi półgłosem do ambasadora angielskiego lorda Abernona: „Obawiam się dwu rzeczy — na razie wielkiego sukcesu komunistów, a w następstwie gwałtownej reakcji nacjonalistów".

Lord Abernon ma już wyrobione zdanie o tych pierwszych, nie darmo jest przecież lordem. Wielka Brytania po raz nie pierwszy i nie ostatni przegrywa zwycięstwo nad Niemcami. Finansując najpierw Stresemana, a potem Hitlera, byleby tylko odwrócić niebezpieczeństwo komunizmu, kuje broń, która jutro podpali gmachy Londynu.

Historia jest niepowtarzalna, ma jednak swoje analogie. Ludwik Renn, sumienie epoki, zarysował przed światem kulisy jednej klęski i jednego zwycięstwa kapitalizmu w Niemczech. **W roku 1933, kiedy Hitler dochodził do władzy, w Niemczech było jeszcze 5 milionów komunistów.** W roku 1945, gdy tchórzliwie odbierał sobie życie, było ich o wiele mniej. Powtórzyły się wiernie i zadziwiająco powojenne lata i wypadki. Zmądrzała wielka część narodu niemieckiego, nie zmądrzeli tylko lordowie Abernon.

Długa i daleka droga wiodła Renna do świadomości, do nabycia doświadczeń, do odkrycia własnymi oczyma prawdy dziejów. Wiele na niej było zakrętów, poślizgnięć i rozgoryczeń. Płynęły nad Niemcami lata poniżenia i wzgardy. Lęk ogarniał znużone oczy milionów. Jeszcze raz udało się garstce potentatów przemysłowych opanować sytuację i wtrącić swój naród w objęcia dobrze widzianego nacjonalizmu.

„Byłem pozbawiony podstaw i wszelkiej nadziei — wyznaje pisarz. — Przez siedem lat prowadziłem takie życie, aż wreszcie odnalazłem właściwą drogę do komunizmu."

W przedwojennym, polskim tłumaczeniu ostatnie słowo zostało starannie pominięte.

Ludwik Renn jest reprezentantem tej części narodu, na której śmiało budować można nowe, demokratyczne Niemcy.

LESZEK GOLIŃSKI.

JAN BARANOWICZ

Melpomena zamieszka w Raciborzu

Gospodarza miasta Raciborza, obywatela Kozika poznałem w gospodzie spółdzielczej. Siedział przy stole, nakrytym czystym obrusem i przeglądał jakąś gazetę. Pora była poobiednia, klienci spożyli już dawno posiłek. Kilku przygodnych gości chłodziło podniebienie piwem lub lemoniadą.

Nie sądzę, że jedynie chęć przeczytania w spokoju gazety sprowadziła prezydenta do zacisznej gospody. Gospoda — podobnie jak i znajdujący się w pobliżu dom spółdzielczy — powstała na ruinach miasta. Pomógł w tym wydatnie obok grona ludzi chętnych, ze spółdzielcą Blakiem na czele — również i sam prezydent. Stąd ta przyjemność, która sprowadza go tutaj od czasu do czasu, żeby przy dźwiękach dobrej orkiestry napić się kawy czy zjeść kolację. Przymiotnik „dobra", dodany tu dla określenia wartości orkiestry nie jest przesadą ani komplementem. Orkiestra pochodzi z Katowic i koncertowała w rozrywkowym barze „Wojko" dla tych, którzy mieli dużo czasu i pieniędzy do stracenia. Obecnie — po zlikwidowaniu lokalu — przygrywa ludziom pracy, którzy wstępują tu na wieczorny posiłek czy dla chwilowego odpoczynku.

Rozmowa toczy się na temat miasta i jego odbudowy. Obywatel Kozik z natury spokojny i opanowany, ożywia się i mówi szybko, ilekroć zahaczam o miłe dla jego ucha tematy.

Po gospodzie i spółdzielni przyszła kolej na teatr. Teatr dla Raciborza i okolicy. To stanowi obecnie naszą największą ambicję i troskę. Nie chodzi tu jedynie o rozrywki kulturalne. Zniszczone miasto odczuwa brak obszerniejszej sali dla zebrań społecznych i partyjnych. Moi poprzednicy szukali przez trzy lata odpowiedniego miejsca na ten cel i jakoś znaleźć nie mogli. Ja miałem większe szczęście. Leży sobie pokaźna kupa gruzów pozostałości starego hotelu przy ulicy Panieńskiej. Tam wyrośnie gmach teatru. Uzbierało się już trochę pieniędzy ze składek społecznych. Władze wojewódzkie obiecały przyrzucić kilka milionów do tej sumy. Więcej — obiecały podwoić dotację, jeśli zakaszemy rękawy i podciągniemy budynek pod dach do końca roku. Zrobimy to z całą pewnością.

— Zastanawialiśmy się z początku, czy by nie przebudować na teatr dawnej restauracji „Pod strzechą", miejsca zebrań powstańczych i bazy polskości za czasów okupacyjnych. Ale społeczeństwo protestowało: — „Pamiątka narodowa" — mówiono. Utrzymała się za czasów niemieckich, powinna się utrzymać i dzisiaj. Spór rozstrzygnął wojewoda śląski. — Będzie teatr i będzie „Strzecha" — zapewnił, obiecując finansowe poparcie. Więc budujemy jedno i drugie. Gospodę „Pod strzechą" zamienimy na miejskie muzeum pod nazwą: Racibórz wczoraj, dziś i jutro.

— Teatr to nie sam budynek — wtrąciłem sceptycznie. Chodzi przecież jeszcze o publiczność i o aktorów. Tych ostatnich odczuwają brak wszystkie teatry w Polsce. Jeśli zaś chodzi o ludność Raciborza...

— Racibórz — pośpieszył z odpowiedzią prezydent — liczy obecnie 26.000 mieszkańców. Nie przeraża nas to jednak. W ciągu najbliższych pięciu lat liczba ta wzrośnie o 100 procent.

— Czy nie nadmiar optymizmu? — uśmiecha się siedząca obok nas dziennikarka.

— Tu nie chodzi o normę urodzin — proszę pani. Problem ten rozwiążemy w inny sposób, chociaż — jeśli chodzi o nasze raciborzanki — to i one nie pozostaną w tyle. Przybór ludności przewidujemy z dwóch źródeł. Mianowicie: — Wkrótce przenoszą się do naszego miasta Główne Warsztaty Kolejowe z Pyskowic. Wraz z nimi przybędzie tysiąc pięćset robotników. Licząc, że każdy robotnik przywiezie ze sobą czteroosobową rodzinę — da nam to sześć tysięcy nowych obywateli. W styczniu 1951 roku uruchamiamy Fabrykę Kotłów. Znajdzie w niej zatrudnienie dwa tysiące robotników. Jeśli tę liczbę podobnie jak w poprzednim wypadku — pomnożymy przez cztery — otrzymamy jako rezultat dalsze osiem tysięcy mieszkańców miasta.

Widząc, że cyfry populacyjne sypią się z ust prezydenta jak z rogu obfitości — sceptyczna dziennikarka wypogadza czoło i zauważa już bez złośliwości, że brakującą do stu procent liczbę da się zapewne łatwo uzupełnić.

Mnie jednak dręczy pytanie, skąd raciborski teatr weźmie aktorów. Spółdzielca Blak znajduje jednak i na to pytanie odpowiedź:

— Tymczasowy narybek aktorski obejrzycie sami za chwilę. Jeden z aktorów pracuje w naszej spółdzielni. Zdaje mi się, że warto z nim porozmawiać.

Spojrzenia nasze, gdy przechodzimy do pobliskiego spółdzielczego domu towarowego, ślizgają się po ruinach kamienic śródmieścia. Resztki murów, oczodoły okien ciążą nad nami i nasuwają przykre wspomnienia. Brutalna pięść wojny mocno dała się we znaki miastu. Zniszczenia należałoby porównać ze zniszczeniami Warszawy czy Wrocławia.

— Miasto zburzono w dziewięćdziesięciu trzech procentach — słyszę obok smutny głos. — Ale dajemy sobie radę. Społeczeństwo dzielnie pomaga w odgruzowaniu. I z miasta i z okolicy. Czyste ulice, odbudowane domy są tego wymownym przykładem.

— Miejsce na teatr nie lepiej się prezentuje. Robota posuwa się jednak naprzód. Któregoś dnia jedna z grup, znojąc się przy kamieniach i cegłach, zastanawiała się, jaki program ułożyć na pierwsze przedstawienie i jakie miejsca sobie zarezerwować na balkonie odbudowanego teatru. Myśl o balkonie nasunęła im góra gruzów, z wysokości której — jak z galerii — przyglądali się panoramie miasta.

— Chcemy stworzyć „dzielnicę kulturalną". Obok teatru i muzeum znajdą tu pomieszczenie budynki różnych instytucji społecznych i politycznych.

Kilkupiętrowy ładny sklep spółdzielczy przykuwa naszą uwagę.

Zza lady wysuwa się ku nam młody, wesoły chłopak. Fartuch pracowniczy ma jeszcze na sobie. Zapoznajemy się. Jego nazwisko brzmi Jakób Gałeczka. Ten rodowity raciborzanin to jeden z aktywniejszych i bardziej utalentowanych aktorów amatorskiego zespołu. Kilka lat temu prawie że nie mówił po polsku. Obecnie rozmawia z nami płynnie. Jego zespół teatralny obsługuje Racibórz i okolicę. Dawali przedstawienia w Rybniku i Głubczycach. Na przedstawieniu w Głubczycach było obecnych 1200 osób.

— Jest to więcej, niż zdoła pomieścić nasz przyszły teatr, który obliczamy na 850 miejsc — śmieje się.

Nasz rozmówca tradycje aktorskie przejął po matce, która grywała w zespołach za czasów okupacji. Okazuje się, że lubi bardzo robotę w teatrze. Któregoś dnia trzeba było wyładować 20 ton mąki dla młyna. Biegał jak w ukropie, zachęcając do pośpiechu swych kolegów.

— Spieszcie się, dziś wieczór muszę jeszcze zagrać w teatrze.

Z robotnika magazynowego awansował na kierownika działu dzięki rzetelnej pracy i pilności.

Obok dwudziesto pięcio osobowego zespołu amatorskiego, w którym popisuje się Gałeczka, Racibórz ma jeszcze dwa inne zespoły teatralne i siedem chórów. Ma poza tym swoją orkiestrę i balet, w którym produkują się córki robotników. Jego życie kulturalne płynie więc dość szeroką strugą. Z materiału aktorskiego tych zespołów zamierza stworzyć trupę artystyczną w nowobudującym się teatrze. Chyba, że zlitują się nad Raciborzem aktorzy zawodowi. Chyba, że powstanie tu Studio Teatralne. Ale teraz już powstaje gmach teatru.

Jan Baranowicz.

ALEKSANDER ROGALSKI

Berlińskie prapremiery

Gdy pod koniec roku 1947 otwarto w Berlinie trzy nowo-odbudowane z gruzów teatry, a mianowicie: we Friedrichstadt, przy Gesundbrunnen i przy Kurfuerstendamm, przedstawiciele opinii niemieckiej widzieli w wydarzeniu tym nie tylko wyraz woli życia i prężności tego miasta, ale także zjawisko symptomatyczne dla dzisiejszego niemieckiego życia kulturalnego, a szczególnie teatralnego. Życie to mianowicie odbudowuje się raczej od strony materialnej, zewnętrznej, aniżeli od strony elementów istotnych, takich jak repertuar, reżyseria, zespoły.

W repertuarze wciąż przeważają sztuki zagraniczne, na co w niemałej mierze wpływa międzynarodowa konkurencja, spowodowana okupacją Berlina przez cztery mocarstwa. Bezmyślność i przypadkowość planów repertuarowych była jeszcze do niedawna tak uderzająca, że dyrektor Langhoff, wielki autorytet w dziedzinie teatru niemieckiego, doszedłszy do wniosku, iż przerost sztuk zagranicznych zdezorientował zupełnie publiczność, postanowił grać przeważnie sztuki niemieckie. Nikłość jednak powojennej dramaturgii niemieckiej pozwala jedynie w skromnej mierze zadość uczynić temu programowi, jedynym zresztą, na jaki zdobyły się teatry berlińskie.

Fakt, że Berlin był zawsze raczej miastem wielkich reżyserów i aktorów, aniżeli ośrodkiem rozstrzygających czynników kulturalnych, nie tłumaczy wystarczająco, dlaczego dotąd żaden jeszcze z teatrów berlińskich nie posiada zespołu godnego tej nazwy. Wprawdzie dyrektorzy teatrów tropią nieustannie aktorów i reżyserów, ale rezultatem tego bywa niepokój i niepewność. Są aktorzy, którzy wędrują z jednego teatru do drugiego lub bywają wypożyczani przez jeden teatr drugiemu. Brak dobrych aktorów nie usprawiedliwia braku dobrej sztuki zespołowej. Intendenci zamiast zaczynać pracę od swoich aktorów, zaczynają ją od swoich scen.

Ogólnie biorąc sytuacja teatrów berlińskich jest wypływem kryzysu teatru, odczuwanego powszechnie w całych Niemczech. Na scenach niemieckich panuje pogoń za sensacyjnymi sztukami zagranicznymi, nacechowana snobizmem i dyktowana modą, staroświecki kicz i melodramat oraz dyktatura kasy teatralnej.

Nie trzeba jednak zapominać o tym, że kryzys teatru niemieckiego jest z kolei przejawem zjawiska szerszego, kryzysu człowieka, a więc także kryzysu pisarza, kierownika teatru, publiczności i aktora.

Uwagi powyższe wydały się niezbędne dla właściwego naświetlenia grywanych ostatnio w berlińskich teatrach sztuk, do omówienia których niebawem przystąpię. I jeśli ogólne wrażenie, jakiego nabędzie może czytelnik na podstawie niniejszej relacji wypadnie korzystniej, aniżeli należałoby spodziewać się po tym wstępie, nie podważy to oceny zasadniczej położenia dzisiejszego teatru niemieckiego, lecz może w najlepszym wypadku świadczyć o pierwszych próbach przełamania panującego kryzysu, bo nie należy się zbytnio sugerować poszczególnymi osiągnięciami. Nie ulega jednak wątpliwości, że z punktu widzenia czytelnika polskiego nawet zupełnie niewartościujące spojrzenie na ostatnie berlińskie nowości teatralne może nam dużo powiedzieć o tym, co się dzieje w Niemczech dzisiaj w zakresie kultury.

Styczeń 1949 roku przyniósł sztukę, która obudziła u Niemców zatroskanych o przyszłość dramaturgii niemieckiej, najśmielsze nadzieje, mianowicie sztukę Berta Brechta pt. „Mutter Courage und ihre Kinder" (Matka Courage i jej dzieci). Krytyka jednomyślnie uznała ją za najwybitniejszy z utworów jakie napisał ten świeżo z emigracji przybyły pisarz, a zarazem za jedno z największych wydarzeń teatru berlińskiego od czasu kapitulacji. Stanowi ona nie tyle w ścisłym słowa znaczeniu dramat, ile dramatyczną kronikę z wojny 30-letniej, ujęta w dwunastu obrazach, pełnych skondensowanej prawdy i postaci o narzucającej się aktualności. Wszystkie te postaci miażdży po kolei swymi żelaznymi trybami wojna. Miażdży też ona markietankę Courage i jej dorosłe dzieci, stanowiących jedyną ludzką grupę na tle automatów i marionetek, jakie wytworzyła wojna. Wędruje ona z miejsca na miejsce ze swą kaleką, głuchoniemą córką na wozie pchanym na początku przez dwu rosłych synów, by, pozbawiona stopniowo jednego dziecka po drugim, zostać w końcu opuszczoną i samotną. Jest to kobieta ze szczepu Nioby, co zębami i pazurami broni istot, którym dała życie, a skazana jest na bezsilne przypatrywanie się ich zagładzie. Nieczuła jest na śmierć, ponieważ za zadanie swoje uważa ratowanie życia. Jej los urasta do znaczenia symbolu, stając się surowym oskarżeniem wojny.

Obok tych czterech postaci występuje jeszcze kucharz i groteskowa figura kapelana, prostytutka, brutalni żołnierze i przestraszeni wieśniacy. Ich ostro nakreślone charaktery stają się wędrownymi symptomami rozkładu materii ludzkiej, spowodowanego przez wojnę.

Sztukę, wystawioną na scenie Deutsches Theater inscenizował sam Bert Brecht wraz z Erichem Engelem, który w latach dwudziestych wystawiał jego „Trzygroszową Operę". Ani śladu w niej konwencjonalności i mierności, czyniących z małymi wyjątkami tak nieznośne całe berlińskie życie teatralne w ostatnich latach. Po raz pierwszy też bodaj w Berlinie doszło do skutku stworzenie gry zespołowej z prawdziwego zdarzenia. Reżyseria umiała tu połączyć świetne osiągnięcia indywidualne z żywym i aktywnym zespołem, precyzyjny, jasny język i wyrazistość gry z fascynującą plastycznością sylwetek ukazanych na skąpym tle. Możliwości oddziaływania każdej sceny od wstrząsu aż do upiornej groteski zostały w sposób mistrzowski wyzyskane.

Matkę Courage grała Helena Weigel, która wraz z Brechtem przed piętnastu laty opuściła pierwszą linię teatru eksperymentalnego, by udać się na emigrację, a teraz wróciła na scenę berlińską już jako małżonka dramaturga. Dała kreację wspaniałą dzięki swej wyrazistości, pozbawioną patosu, prostą, oszczędną w mimice. Za najlepsze jednak aktorskie osiągnięcie uznała krytyka rolę głuchoniemej córki, odegraną przez młodą Angelikę Hurwicz. Oddała ona, posługując się jedynie mimiką i gestem, niekształtną, zwierzęco nieporadną istotę, w której mieści się jednak wzruszająco wysoki ładunek człowieczeństwa — wizję niedoli ludzkiej o rzadko na scenach spotykanej sugestywności.

Przedstawienie, w którym występowało prawie 40 aktorów i trwało cztery godziny, wywołało niezwykle silne wrażenie na publiczność. Owacjom nie było końca.

Mniej już podziwu wyrażała krytyka pod adresem granej na gościnnych występach teatru w Halle w teatrze przy Schiffbauerdamm nowej sztuki Friedricha Wolfa, który obchodził niedawno 60-tą rocznicę swych urodzin. Sztuka zatytułowana „Wie Tiere des Waldes" (Jak zwierzęta leśne) nosi określenie „sztuka o podszczuwaniu, miłości i śmierci naszej młodzieży". Stanowi ona surowy obrachunek z tymi, którzy nie odpokutowali jeszcze za przeszłość, a już znowu podżegają do zbrodni. Jest kwiecień 1945 roku. Dziewiętnastoletni dezerter daremnie szuka w kraju schronienia. Wypędzony z kryjówki przez ślepo posłusznego rozkazom wojskowym ojca swej narzeczonej, ucieka razem z nią do pobliskiego lasu, gdzie osaczony przez prześladowców decyduje się na samobójstwo. Lecz po zastrzeleniu narzeczonej nie znajduje już czasu na własną śmierć. Staje przed sądem doraźnym, dostaje wyrok śmierci przez powieszenie, następnie jednak utyka w jednej z osławionych kompanii alarmowych. Od ponownej ucieczki ratuje go matka, wzniecając w nim wiarę w przyszłość i nadzieję na nowe, godne człowieka życie.

Sztuce, która obok dramatycznych posiada wiele pierwiastków lirycznych brak jednak zwartości, cechującej utwory Friedricha Wolfa. Dramatycznej koncentracji zaszkodziło zbyt surowe przedstawienie aktów procesowych i gubienie się w szczegółach. Niezbyt przekonujący jest też optymistyczny wydźwięk tragedii. W ogóle utwór zdradza szereg nieporadności w odtworzeniu epoki — nie każdemu udało się oddać z daleka tak precyzyjnie atmosferę Trzeciej Rzeszy, jak Annie Seghers i Karolowi Zuckmayerowi. Inscenizacja hallskiego reżysera Gerarda Overhoffa ujawniała tę samą oscylację między stylem realistycznym a symbolicznym co tekst. W zespole wybijała się bardzo sugestywna gra Ruty Kommerell i jej partnera Horsta Drindy.

Słaba artystycznie i psychologicznie ta najnowsza sztuka Wolfa zaleca się jednak zdecydowaną i szlachetną postawą moralną i ideową znamienną dla tak nawskroś postępowego dramatopisarza jakim jest Wolf.

Z aktualnej problematyki wyrasta też „Der Feigling" (Tchórz), pięcioaktowa komedia niegdyś bułgarskiego pisarza i reżysera filmowego, który od dwudziestu lat uważa Niemcy za swą ojczyznę z wyboru i przybrał nazwisko Stefana Brodwina.

Zamiarem autora było wyszydzić tchórzostwo mieszczaństwa, które zmuszone do służenia wskutek korumpowanych stosunków, kapituluje w obliczu wszelkiej decyzji z wyjątkiem decyzji na brutalność wobec bliźnich. W kategoriach politycznych oznacza to: utrwalenie nieludzkich stosunków i poparcie trwałej korumpcji kapitalizmu. Komedia Brodwina nie zawiera żadnych „politycznych" aluzyj i nie powołuje się na żadne bliskie nam wydarzenie historyczne. Jej postaci są to groteskowe produkty wyobraźni, niekrępującej się żadnymi prawami „naturalności" i „prawdopodobieństwa". Mimo to trafia ona w samo sedno problematyki dzisiejszych czasów, jest więc sztuką współczesną o znacznie intensywniejszej realistyce aniżeli niejeden bezpośrednio polityczny teatr, który swą fałszywie rozumianą aktualność opiera na czysto zewnętrznej reprodukcji obecnych wydarzeń i konstelacji.

Sztuka Brodwina wykazuje jednakże pewne niedostatki artystyczne, zwłaszcza od trzeciego aktu, pozbawiona będąc sugestywności i dynamiki pierwszych scen. Mimo to krytyka stawia sztukę Brodwina wyżej od przeciętnych elaboratów niemieckiej dramatyki powojennej, widząc w niej dowód, że języka niemieckiego użyć można także do literatury dającej solidną społeczną krytykę współczesności.

Premiera „Tchórza" odbyła się w Teatrze Niemieckim na scenie kameralnej. Inscenizator, Ernst

(Dokończenie na str. 4)

Kronika kulturalna Wrocławia

Ostatni w tym sezonie (142) Czwartek Literacki wypełnił Wieczór Poetycki Tadeusza Zelenaya i Stanisława Piastowicza oraz referat posła Alfreda Krygiera na temat „Kultura w budżecie RP. na rok 1949".

*

W ub. tygodniu otwarta została w salach Miejskiej Rady Narodowej w Ratuszu interesująca wystawa obrazująca plan przestrzenny odbudowy i zagospodarowania miasta Wrocławia. Podczas uroczystości ciekawy referat wygłosił dyrektor Biura Planu Wrocławia inż. Ptaszycki. Mówca podkreślił fakt, że Wrocław jako jedno z pierwszych miast w Polsce otrzymał szeroko opracowany plan przebudowy gospodarczej, społecznej, urbanistycznej i kulturalnej.

Ks. HENRYK WERYŃSKI

Pokój słowo jedyne

Nie ma w puściźnie ewangelicznej i w całej nauce Chrystusa drugiego słowa — obok miłości, które by było bardziej charakterystyczne dla ideologicznej treści chrystianizmu — niż POKÓJ.

Pokój jest pierwszym słowem, które snopem światła kładzie się na ścieżynie życia Mistrza z Nazaretu. I — misji życiowej Chrystusa nie rozumieją ci wszyscy, którzy nie rozumieją pokoju.

Ale — tylko ludzie naiwni pojmują pokój jako brak wojny, jako symboliczne „schowanie szabli do pochwy". Pokój to nie „zawieszenie broni"; tam, gdzie jest tylko zawieszenie broni, tam jest jeno licha imitacja pokoju, często z myślą o nowej rozgrywce zbrojnej.

Pokój — to pojęcie nawskroś pozytywne, pełne. Ono suponuje doskonałość układu elementów politycznych, gospodarczych i kulturalnych w poszczególnych narodach i państwach, oraz w ich wzajemnym stosunku do siebie.

Czy obecnie istnieją warunki do podjęcia realizacji prawdziwego, pełnego pokoju?

Może jeszcze nigdy w dziejach nie budziły się w ludzkości tak silne tęsknoty za pokojem wśród narodów i państw, jak właśnie na tym ostrym zakręcie historii, który obecnie — jak gigantyczny film dokumentarny, przykuwa nasz wzrok i rwie nas z sobą w pełną intrygujących obietnic przyszłość.

Komu leży na sercu szczęśliwe jutro ludzkości, ten dołoży wszelkich starań do realizacji wspomnianych tęsknot. Dlatego każdy z nas powinien tępić i zwalczać wszelkie odruchy, mające znamiona podżegania do wojny. Każdy z nas powinien otwierać drugim oczy na fakt potworności pomysłu nowej wojny w warunkach, kiedy to dobra wola narodów, miłujących pokój, może stworzyć realne podstawy do załatwienia wszystkich spornych spraw pomiędzy poszczególnymi narodami i państwami — na drodze pokojowej.

ZDECYDOWANIE POTĘPIAMY WOJNĘ.

ZDECYDOWANIE PRAGNIEMY POKOJU.

CHCEMY JEDNAK PRAWDZIWEGO POKOJU.

Nie chcemy i nie możemy dopuścić do tego, żeby miały ziścić się ponownie cyniczne słowa b. premiera angielskiego Winstona Churchilla, które padły z jego ust — w Izbie Gmin — przed ostatnią wojną światową: „Piękne mowy pacyfistów doskonale sprzyjają zbrojeniom. Liga Narodów i zbrojenia wcale nie kolidują ze sobą, lecz dopełniają się wzajemnie...". DLA NAS DZIŚ POKÓJ TO SŁOWO JEDYNE. Każdy z nas powtarza dziś za genialnym Pasteurem: „Wierzę głęboko, że nauka i pokój osiągną w końcu tryumf nad ciemnotą i wojną, że LUDY ŚWIATA POROZUMIEJĄ SIĘ MIĘDZY SOBĄ NIE DLA NISZCZENIA, lecz DLA BUDOWY i że przyszłość należeć bedzie do tych, co najlepiej zasłużą się cierpiącej ludzkości.

Ks. HENRYK WERYŃSKI.

Sprawa pokoju nie schodzi z myśli ludzi wszystkich krajów i porusza ich sumienie. Ponieważ sumienie katolików świata powinno być specjalnie wrażliwe, przypominamy ku ich zbudowaniu historyczną rolę ks. Boullier, która ostatnio przejawiła się na Międzynarodowym Kongresie Pokoju w Paryżu r. b.

Lecz rzut oka na zewnątrz powinien tym lepiej orientować w rzeczywistości bliskiej. Toteż przypominamy równocześnie, że bliskim sercu polskiemu jest ks. Henryk Weryński, który na gruncie polskiego katolicyzmu ma wszystkie dane, by być tym, czym ks. Boullier jest na gruncie francuskim — obaj będąc synami jednej idei Chrystusowej.

Wiedzą to ci spośród katolików polskich, którzy, jak postępowi chrześcijanie francuscy, obdarzeni są dwiema cechami: 1) bezkompromisową uczciwością myśli i uczuć, 2) szeroką świadomością, która orientuje ich w rzeczywistości doby obecnej. Ci katolicy wiedzą że ks. Boullier nie jest odosobniony na swojej pozycji; bo we wszystkich krajach ma on — wśród księży katolickich — pokrewnych sobie duchem kolegów, którzy z zapałem ewangelicznym propagują ideę pokoju.

Do takich kapłanów należy m. in. ks. Henryk Weryński, ksiądz polski, znany ze swoich wystąpień w kraju i za granicą. On to m. in. wystąpił zdecydowanie z potępieniem ekscesów antyżydowskich w Kielcach w opublikowanym przez P. A. P. merytorycznym oświadczeniu. On to również wystąpił zdecydowanie przeciw wojnie, publikując w 1936 r. w Warszawie broszurę, napisaną na marginesie wojny włosko-abisyńskiej. W 1946 r. wystąpił z publikacją p. t. „Katolicy radykalni", propagując powrót do najlepszych ewangelicznych tradycji katolicyzmu. Nawołuje katolików polski do współpracy z lewicą w dziedzinie gospodarczej i społecznej na platformie pozytywnego ustosunkowania się do przeprowadzonych w Polsce Ludowej reform. Jest pionierem w dziedzinie uaktywnienia katolików i przełamania ich postawy biernej i zacofanej. Od r. 1914 jest ruchliwym współpracownikiem w pismach katolickich.

Redakcja nasza uzyskała oświadczenie ks. Henryka Weryńskiego w sprawie pokoju z punktu widzenia doktryny katolickiej.

Oświadczenie to, nacechowane duchem prawdziwie ewangelicznym i apostolskim, powinno znaleźć echo w szerokich sferach katolickich.

Po zjeździe plastyków

W lokalu redakcji „Odry" odbyła się dyskusja, w której udział wzięli:

Stanisław Marcinow — dyrektor Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Katowicach,

Józef Mroszczak — profesor Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Katowicach,

Zbigniew Rzepecki — architekt,

Marian Wyrożemski — profesor Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Katowicach,

Józef Ligęza — zastępca naczelnika Wydziału Kultury i Sztuki, w Urzędzie Wojewódzkim,

Bolesław Surówka, redaktor,

Wilhelm Szewczyk — redaktor „Odry",

Protokółował: Aleksander Widera.

A oto streszczenie dyskusji:

Rzepecki: Nowa epoka przyszła do nas z ładunkiem nowych problemów i zagadnień. Ładunek ten musi ulec rozładowaniu. Sztuka zawsze odzwierciedlała epokę, nigdy jej nie tworzyła. Także i dzisiaj plastycy pójdą w tym kierunku, w jakim podąża czas. Jeżeli chodzi o architekturę, to dzisiaj jesteśmy w lepszych warunkach, niż kiedykolwiek. Osobiście podpisuję się obiema rękami pod tym, co u nas zrobiono w ostatnich latach. Przypomnijmy sobie, jak u nas krytykowano BOS. Ileż dowcipów był on tematem? Tymczasem dzisiaj okazało się, że wszystko w Warszawie wiąże się w logiczny cykl. Architektura zabytkowa Warszawy odbudowuje się zgodnie ze stawianymi tego rodzaju przedsięwzięciom postulatami. Ważny jest nie tylko zabytek, ale i jego otoczenie. Odbudowując zabytek trzeba także odbudować jego dawne otoczenie. W odniesieniu do Warszawy postulaty włoskich i francuskich archeologów, historyków sztuki i architektów zostały spełnione niemal co do joty.

Marcinow: Ja w odniesieniu do zagadnień plastyki w nowym czasie widzę dwa aspekty. Jednym jest klimat epoki, drugim — kierunek rozwoju. Chodzi mi o proces twórczy. Tu wyłaniają się dwa zagadnienia: czy przez treść do formy czy przez formę do treści. Mylnie stawiano — jak sądzę — sprawę, że formalizm stoi na przeszkodzie na drodze do realizmu socjalistycznego. Albo sądzimy, że formalizm ma tak silną pozycję, że trudno z nim walczyć, albo też godzimy się z tym, że formalizm nie sprzeciwia się postulatom realizmu socjalistycznego. Do treści dochodzi się przez formę. Dyskusje prowadzone między Syrkusową, Kantorem i Wejmanem mogły się w wielu punktach nie zgadzać, ale się pokrywały. Wszyscy oni w swoim czasie byli formalistami. W naszym ośrodku dzisiejsze osiągnięcia zawdzięczamy przede wszystkim formalistom.

Szewczyk: Formalizm potępiamy jako kierunek, ale nie potępiamy pewnych zdobyczy formalistycznych.

Mroszczak: W ścisłym związku z dyskusją o formaliźmie pozostaje zagadnienie plakatu. Jakie zadanie spełnia plakat? Musi on zwrócić uwagę czynną i bierną. Zwrócić uwagę bierną to znaczy podziałać jak uderzenie, zaszokować, a to można tylko przez formę. Jeżeli formalizm powstał w plakacie, to nie dla mody a z potrzeby. Gdyby się formalizm z plakatu wyeliminowało, to trzeba by także zmienić typ plakatu. A więc w danym wypadku jego rozmiary. Inaczej — będzie musiał posiadać formy i linie, których nie ma w przyrodzie.

Marcinow: Istotą sztuki jest rytm, przemianowany na język plastyczny. Formalizm może najbardziej odczuł rytm epoki. Cechą jego jest synteza, skrót.

Surówka: Żaden obraz nie wywarł na mnie bardziej wstrząsającego wrażenia jak „Guernica" Picassa.

Szewczyk: Na Picassa patrzymy jako na ogniwo, jako na zjawisko jednorazowe, ale nie należy naśladować widzenia plastycznego Picassa.

Surówka: Powiedziałbym, że to jest prawdziwy realizm. Sądzę, że np. Zdobycie Berlina można lepiej przedstawić w formie abstrakcyjnej, aniżeli w jakiejkolwiek innej.

Mroszczak: Jedną z konkluzji zjazdowych było stwierdzenie o związaniu malarstwa z architekturą.

Rzepecki: Słusznie. Jest bardzo prawdopodobne, że malarstwo będzie w przyszłości pracować na tle architektury. Kto wie, czy mozaika nie odzyska dawnego znaczenia?

Duchowi polskiemu odpowiada bardzo bujny charakter architektury rosyjskiej.

Jeżeli chodzi o architekturę wschodnią, to stworzyła ona najbardziej monumentalne plastyczne założenie, mianowicie założenie centralne, które zawsze było szczytowym połączeniem budowli i monumentu. Z wyjątkiem gotyku wszystkie inne style brały swoje natchnienie ze wschodu.

Architektura w obecnej epoce ma większe pole działania. Elementem architektonicznym jest dzisiaj nie poszczególny budynek, ale cała dzielnica czy miasto.

Każda epoka rozporządzała pewnym charakterystycznym materiałem, który decydował o formie. Obecna epoka rozporządza żelazem i betonem. Nie należy zapominać o tym materiale. Ze wszystkich plastyków architekt jest najbardziej kontrolowany charakterem i możliwościami konstrukcyjnymi materiału, w którym tworzy.

Marcinow: Mówi się o współpracy malarstwa, rzeźby i architektury. Jest rzeczą oczywistą, że malowidło ścienne w kościele czy w gmachu publicznym posiada szerszy zakres oddziaływania, aniżeli malarstwo sztalugowe. Ale i malarstwu sztalugowemu nie odmawiamy prawa istnienia. Jedno musi się rozwijać równolegle obok drugiego.

Szewczyk: W dyskusji mówiliśmy dużo o formaliźmie. Skierujmy jednak dyskusję przede wszystkim na zagadnienie realizmu socjalistycznego w malarstwie. Bo przecież nic innego, ale właśnie realizm socjalistyczny oddaje najściślej aspekty rzeczywistości w sztuce. Jednym z tych aspektów jest np. praca.

Rzepecki. Praca jako zjawisko w życiu podstawowe, a dzisiaj w okresie odbudowy i dźwigania się ze zniszczeń wojny szczególnie ważne, musi się w twórczości artystycznej cieszyć szczególnym mirem. Oczywiście twórczość artystyczna odtwarzająca pracę w różnych jej przejawach musi spełniać postulat piękna. Elementem pracy jest ruch. Twórca wybiera tylko ruchy piękne. Chętnie maluje siewcę, bo ruchy wykonywane przy sianiu są piękne. I przy maszynie człowiek może wykonywać ruchy piękne. Nie powinno się jednak łączyć na obrazie czy ilustracji człowieka z maszynami, które nie posiadają ładnych kształtów i nie wyzwalają w człowieku harmonijnych, ładnych ruchów. Co się nadaje do ilustracji, to przeważnie nie nadaje się do malarstwa. Nie ma np sensu malowanie kopalni w słońcu, skoro nie posiada ona ładnych barw.

Ligęza. Chciałbym zwrócić uwagę na dwa pojęcia, które proszą się o zestawienie. Są to: wiedza i sztuka. Tu najlepiej dają się zaobserwować drogi poznawcze i rezultaty. W nauce bywa przeważnie tak, że za czołówką nie nadążają umysły przeciętne, szary człowiek. Lukę między jednymi i drugimi wypełnia literatura popularno-naukowa. Podobna sytuacja istnieje także w sztuce.

Wyrożemski: Realizmu socjalistycznego nie utożsamiam z naturalizmem. Mam wrażenie, że artyści w początkowej fazie nowego kierunku będą łączyć dotychczasowe zdobycze formalne z tematyką wiążącą się z obecną rzeczywistością, jednakże nie poprzestaną na formie minionej epoki, a znajdą taką formę wypowiedzi, która najmocniej odzwierciadli i podkreśli doniosłość obecnych przemian społecznych i trafi do świadomości i serc najszerszych mas pracujących, nie obniżając przy tym zdobytego poziomu. Z drugiej strony trzeba olbrzymi nacisk położyć na przygotowanie odbiorców sztuki przede wszystkim przez kształcenie w tym kierunku młodzieży we wszystkich szkołach, organizowanie objazdowych wystaw dydaktycznych z prelekcjami dla warstw pracujących, zakupy prac plastyków do domów kultury i świetlic i obsadzanie stanowisk kierowników kulturalnych ludźmi do tego przygotowanymi.

Rys. Tadeusz Sadowski

Eugeniusz Geppert, Wrocław

Emil Krcha Wrocław

Konstanty Mackiewicz, Łódź

Feliks Turski, Łódź

Tadeusz Kulisiewicz, Warszawa

Wycinanki łowickie

Ukazały się piękne siedmiobarwne wycinanki łowickie wydane przez Polskie Towarzystwo Krajoznawcze, na pięknym papierze. Oprócz tego ukazała się pierwsza seria widokówek krajoznawczych, zawierających około 50 tematów z różnych stron Polski.

Pocztówki P. T. K. są wysoce artystyczne; podkreślają piękno polskiego krajobrazu.

Na szczególną uwagę zasługuje fakt wydania w naturalnych kolorach 24 wzorów wycinanek łowickich, spełniających rolę propagatora piękna sztuki ludowej.

W przygotowaniu są dalsze serie widokówek krajoznawczych. Dział Wydawnictw P. T. K. zwraca się do wszystkich miłośników piękna polskiego krajobrazu i sztuki ludowej o nadsyłanie materiałów pod adresem Polskie Towarzystwo Krajoznawcze, Oddział Warszawa, Dział Wydawnictw ul. Wilcza 22, m. 8.

Zbigniew Pronaszko, Kraków

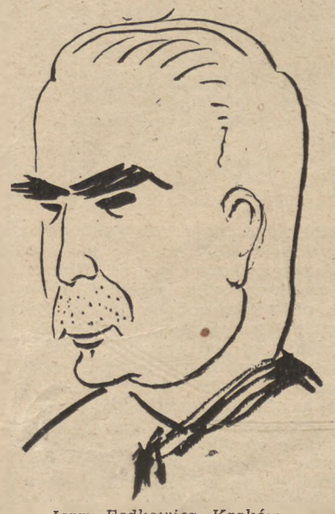

Jerzy Fedkowicz, Kraków

Wierusz Kowalski, Gdańsk

FRANCISZEK GERMAN

W Roku Mickiewiczowskim

Muzyka wygnańca

O muzycznych zainteresowaniach Mickiewicza część druga

W Rosji*) Mickiewicz został życzliwie przyjęty przez „Przyjaciół Moskali" poetów, literatów i postępową część młodzieży rosyjskiej tzw. dekabrystów. Grono nowych znajomych powiększyli z czasem muzycy i kompozytorowie, m. in. *A. N. Wierstowski* i któryś z

Maria Szymanowska

Titowów, a zwłaszcza *Michał Glinka*, twórca narodowej opery rosyjskiej. Spotkania i zebrania ówczesne opisał ich uczestnik i wielki przyjaciel Mickiewicza Michał Pogodin. *„Wieczory żywe i wesołe następowały jeden po drugim... Mickiewicz ujawnił dar improwizacji. Przyjechał M. Glinka... i dołączyła się muzyka."*

Ówczesna korespondencja Mickiewicza świadczy o jego wielkim interesowaniu się muzyką i śpiewem. Oto co pisał poeta z Petersburga do A. Chodźki: *„Bądź grzeczny dla hr. Ricci, przyjaciela mego... Jeżeli chcesz mieć wyobrażenie o pięknym śpiewie, zapoznaj Ricciego z damami jakimi, muzykę umiejącymi i proś, niech co zaśpiewa, szczególnie który psalm Marcella, najulubieńszą muzykę moją albo jaką arię Mozarta np. Nozze di Figaro „Non piu andrai", on ją przecudnie śpiewa."*[1])

W liście do Malewskiego żali się Mickiewicz, że *„żałoba* (z powodu śmierci cara Aleksandra I) *przerwała zabawy i muzyki wieczorne wśród przyjaciół."*

Od r. 1826 mieszkała stale w Petersburgu warszawianka *Maria Agata z Wołowskich Szymanowska* (1790—1831), gdzie założyła słynny salon artystyczny. W ciągu kilku lat występowała ona na estradach koncertowych zachodniej Europy jako świetna pianistka i kompozytorka, budząc podziw Beethovena i Goethego, oraz rozsławiając muzykę polską za granicą. W jej salonie gromadziło się wielu Polaków z Malewskim, Odyńcem, Oleszkiewiczem i Mickiewiczem na czele. Poeta *„bywał u niej ciągle czy to na obiadach, czy na wieczornych przyjęciach, pożyczał od niej nuty, które potem po swojemu przegrywał"* (Szulc — Muzyka w dziele literackim). Zachowała się pełna humoru odpowiedź Mickiewicza na jedno z jej zaproszeń. *„Usiłując o ile możności dawne wznowić przymierze, osądziliśmy za rzecz przyzwoitą przyjąć na obiad ze strony Jej arcy-muzycznej Mości zaproszenie i do obiadu łakomego własną osobą zasiąść przyrzekamy... Ponieważ jej arcymuzyczna Mość zawsze zwykła się ukazywać uzbrojona uśmieszkiem zdradliwym, w przypadku napaści Jego Romantyczna Mość ostrzega, że natychmiast oszancuje się za fortepianem i zacznie grać i śpiewać swoje kompozycje"* (list Mickiewicza do Szymanowskiej z 2. 11. 1828 r.). Na cześć Szymanowskiej napisał poeta natchniony wiersz, w którym nazywa ją *„królową tonów"*. Ciekawą korespondencję Mickiewicza z Szymanowską można zobaczyć na Wystawie Mickiewiczowskiej, otwartej niedawno w Warszawie.

„W miłej atmosferze salonu znakomitej pianistki nieraz zapewne ujście znajdowała pomysłowość, wena poetycka i dobry humor Mickiewicza. Poeta poddawał także tematy kompozytorce. Pod nuty przez nią napisane podłożone są na karcie jednej ręką poety słowa (w j. fr.): *Mój nagrobek. Muzyka do komponowania. Z prochu wyszedłem, ale w proch nie obrócę się."* (Kleiner — Mickiewicz, Lublin 1948, t. II, cz. I, s. 53). Ulubionym utworem Mickiewicza był wtedy *nokturn Szymanowskiej „La murumre"*. Pod wpływem tej kompozycji poeta potrafił improwizować całymi godzinami.

Mickiewicz improwizował w Rosji również przy muzyce dwunastoletniego *Antoniego Kątskiego* (1817—1899), późniejszego słynnego pianisty-wirtuoza i kompozytora. Oto jego wspomnienia wspólnie spędzonych miesięcy 1829 roku. *„Bywała w domu rodziców m. in. p. M. Szymanowska, a codziennymi naszymi gośćmi byli... Fr. Malewski, Al. Chodźko i A. Mickiewicz. Wieczory spędzaliśmy bardzo urozmaicenie. Oprócz muzyki, deklamowano wiersze, Mickiewicz improwizował najczęściej pod moją muzykę, a najbardziej lubił motyw do słów „Pije Kuba do Jakuba..." Ułożyłem wówczas muzykę do wierszy Al. Chodźki, a które dedykowane były Mickiewiczowi... Piosenka ta* („Dzielny goniec")... *w rękopisie w licznych egzemplarzach szeroko rozchodziła się po Litwie, rozsyłana przez Chodźkę. Śpiewano ją wówczas we wszystkich dworach i dworkach"* (Antoni Kątski — Z moich wspomnień o Adamie. Księga pam. na ucz. setnej roczn. ur. A. Mickiewicza t. I, s. 39).

W czasie pobytu w Odessie Mickiewicz bywał razem z Malewskim w tamtejszym teatrze. Opera włoska podobała się obu przyjaciołom. Pod wpływem „Wolnego Strzelca" Webera nadał Mickiewicz nową formę „Pieśni Strzelca" z Dziadów cz. I (Rzążewski — Opowiadania i studia, 1885 r., s. 130). K. Kaczkowski zanotował w swoich „Wspomnieniach", że spotkał się z Mickiewiczem i Malewskim w odeskiej operze na „Normie". W Odessie Mickiewicz miał nieraz okazję usłyszenia pięknego śpiewu K. Sobańskiej, podobnie jak na Litwie — śpiewu i gry p. Kowalskiej. W r. 1825 był Mickiewicz gościem Karola Ścibor-Marchockiego, w domu którego słyszał wykonywane przezeń polonezy Ogińskiego. Utwory tego kompozytora wchodziły w skład wielkiego repertuaru ulubionych utworów muzycznych Mickiewicza.

W Petersburgu, w r. 1827, improwizował Mickiewicz za namową przyjaciół w czasie wykonywania znanej pieśni *„Hej użyjmy żywota"* (M. Malinowski — Księga wspomnień, Kr. 1907 r.). W tymże mieście, 16. 12. 1828 r., przy dźwiękach fletu poeta *„śpiewał kilkanaście zwrotek wesołych żartując z różnicy czasów: obecnego i przeszłego."* W wielkie zdumienie wprowadził Mickiewicz swoich słuchaczy w osiem dni później, w czasie głośnej improwizacji przy dźwiękach fortepianu w obecności księcia L. Sapiehy. Był to najsławniejszy popis improwizatorski Mickiewicza; poeta wygłosił wtedy z pamięci szereg scen nienapisanej tragedii o Samuelu Zborowskim.

Cenne informacje o improwizacjach Mickiewicza w Moskwie zawiera dziennik Heleny Szymanowskiej. Na wieczorze u p. Zaleskiej *„sławny nasz poeta trzy razy improwizował: raz na nutę „Laura i Filon", drugi raz na nutę „Non piu andrai" (pierwsze słowa arii Mozarta — Wesele Figara), trzeci raz na nutę „murmure"* (kompozycja M. Szymanowskiej). Zachowało się wiele innych relacyj o improwizacjach Mickiewicza w Rosji przy fortepianie, wyliczanie ich jednak wykracza poza ramy niniejszej pracy.

Zdarzało się czasem, że Mickiewicz nie był zadowolony z tego co napisał. Tak było z „Konradem Wallenrodem". Utwór napisany, przeleżał w tece kilka miesięcy, brakowało tylko niewielu wierszy w jego zakończeniu. Nawet muzyka Mozarta, mająca przemożny wpływ na poetę, nie przyspieszyła końca jego mozolnej pracy. Podkreślił to Fr. Malewski w liście do J. Lelewela z dnia 14. 7. 1827 r. w cennych dla nas słowach: *„Zaciął się tak, że nawet Don Juan ulubiony, którego mu gram co dzień przy łóżku, nie może mu natchnąć tak małego kawałka"*, potrzebnego do napisania zakończenia Konrada Wallenroda (Kallenbach — Mickiewicz I, 357).

Ogólnie biorąc, Mickiewicz w czasie pobytu w Rosji, pogłębił swoją kulturę muzyczną. Ułatwił mu to w znacznym stopniu kontakt z salonami zarówno polskimi, jak i rosyjskimi.

Dnia 15 (27) maja 1829 r. poeta opuścił granice Rosji). W otrzymaniu paszportu zagranicznego pomogli mu nie „Przyjaciele Moskale", chociaż mieli najlepsze chęci i czynili bezowocne starania w tym kierunku, ale Tadeusz Bułgaryn, który odegrał smutną rolę za czasów Mikołaja I, o czym Mickiewicz nie wiedział.

Franciszek German.

ERRATA

W poprzednim odcinku („Hej radością oczy błysną") zakradły się następujące błędy i nieścisłości: szpalta 1, w. 8 „O średniowiecznym malarstwie religijnym", zamiast „O nowszym malarstwie religijnym niemieckim", w. 62 „Powracajcie mi rycerze", zamiast „Powracajcie cni rycerze", szpalta 3, Nr 57 „T. Domejko" zamiast „I. Domejko", szpalta 5, w. 46 „dyplomowany", zamiast „dyplomowy".

*) Pierwszą część niniejszego artykułu drukowaliśmy w „Odrze" nr 26.

JOLANTA LELIWA

Żelazo

Nocą rozkwitłą letnim niebem
pogodną, ciepłą nocą
gorąco - czerwona łuna trwa
nad naszą pobliską hutą.
Z podwórza sąsiedniego domu
śpiewa głośno piosenkę
wesoła harmonia hutnika,
który wrócił z wypełnionej dniówki.

Tam — w kręgu huty — praca.
Rzęzi ruda. Syczą surowce
ognistą lawą przewalając się w formy.
Gorącym oddechem wita świat rodzące się żelazo.

Ze stopionych surowców, ze złomu
wytwarzamy nowe formy,
nowe żelazo — żelazo pokoju
kujemy w dni i noce.

Żelazo na szyny kolei
arterie naszych ziem.
Żelazo na nowe maszyny
do fabryk dających dobrobyt.

Nie na czołgi czy lufy
dział żądnych mordu i krwi.
Nie na ruszty krematoryjnych pieców,
nie na druty kolczaste obozów,
nie na kajdany dla wolnych,

ale Żelazo na traktory,
by w żyznej glebie zaorały słowo „głód"
i na łyżwy też dla zdrowych dzieci
wyrwanych gruźlicy i rynsztokom.

Na wielkie mosty i na małe gwoździe,
którymi stolarze zbiją nowe sprzęty
do nowych robotniczych domów
kujemy Żelazo

Żelazo naszej woli
Żelazo dobrobytu
Żelazo Pokoju.

SONETY

ADAMA MICKIEWICZA.

Quand'era in parte altr' uom da quel, ch'io sono.
Petrarca.

Z NÓTAMI KOMPOZYCYI KAROLA LIPIŃSKIEGO.

LWÓW,
NAKŁADEM KUHNA I MILKOWSKIEGO,
KSIĘGARZY WE LWOWIE I TARNOWIE.
1827.

Podobizna okładki i karty tytułowej w wielkości oryg.

Podobizna karty tytułowej wydanych w r. 1827 we Lwowie „Sonetów" Adama Mickiewicza z nutami kompozycji Karola Lipińskiego

KAJETAN STOPA **Felieton literacki**

Sprawiedliwy Johann Samuel

Utworzona po ocknięciu się Niemiec z katastrofy napoleońskiej Rejencja w Opolu obiecywała sobie szybko, bez większych trudności, uporać się z żywiołem polskim na Śląsku. Tylko trochę popracować a uświerkną nikłe wysepki szkolnictwa powszechnego, przed dzikim ludem tutejszym, nie znającym dotąd żadnego języka literackiego, otworzą się szeroko wrota cywilizacji niemieckiej, która odniesie korzyść oczywistą z elementu karnego, pracowitego i posłusznego władzy.

Za parę dziesiątków lat — planowała biurokracja niemiecka — powinien zniknąć z powierzchni ziem nad Odrą śmieszny dziwotworek, narzecze, którego używają „wasserpolowie nadęci", zlepek poziomych wyrażeń czesko-morawsko-polsko-niemieckich. Tylko nie dopuścić do kształcenia nauczycieli szkół powszechnych, tylko zniemczyć gruntownie kler, a plemię rabów śląskich oduczy się polskiego „rzykania".

Drobna tylko mniejszość wśród Niemców rządzących Śląskiem w walącym się zamku książąt ongiś opolskich na Pasiece była innego zdania i głośno dawała wyraz swym zapatrywaniom. Wychowani na ideałach słowianofila Herdera, upojeni wolnościową problematyką Schillera, nie gnębić chcieli lecz budzić uśpioną dotąd świadomość narodową Ślązaków, którzy posiadali już najwyższą chyba w całej Polsce świadomość klasową. Idea narodowości rozpalać jęła od początku stulecia wszystkie postępowo myślące umysły Europy. Znaleźli się więc i w Rejencji opolskiej ludzie rozumujący trzeźwo, praktycznie: tylko głupiec może budować domki z kart na fundamencie rzekomo „zepsutej" gwary śląskiej!

BENDA I RICHTER

Zgermanizować uparte od wieków plemię wydawało się im już w r. 1821 taką samą pracą Syzyfa jak zamiar zupełnego zniemczenia Łużyczan lub sprusaczenia objętych rządami niemieckimi Litwinów. Rzecznikiem programu eksterminacji (wygubienia karalucha polskiego) był gizd napastliwy, radca rejencji, Benda, opozycję reprezentował gromko starszy jego kolega, dobrze znający kraj i stosunki, referent spraw oświatowych i religijnych, pastor Johann Samuel Richter. Ten zapalony polonofil przez dobre lat 30 wołał i udowadniał, jakim nonsensem jest uważanie języka polskiego za kłodę na drodze oświecenia Ślązaków, bo tu nie język przeszkadza, lecz brak nauczycieli w szkołach jest powodem ciemnoty mas. Niestety! nie „rozpracowano" dotychczas trzydziestoletniej roboty agitacyjnej Richtera tak jak to uczyniono z dwoma innymi wyjątkowymi Niemcami, promotorem szkolnictwa Bogedajnem i zbieraczem pieśni ludowych, Rogerem (1863). O Richterze niewiele więcej wiadomo ponad to, co już w r. 1918 wyszperał zasłużony Ludomir (ks. Szramek). Podamy tu jeden nieznany a dość istotny epizod z działalności J. S. Richtera.

Stanisław Kostka Potocki, generał artylerii koronnej, potem prezes Senatu i minister Wyznań i Oświaty za Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego. Portret pędzla Kokulara.

SROKA CIĘ ZAMORDUJE!

Nie mniej, może nowet więcej niż demokrata Kołłątaj i żarliwiec Niemcewicz interesował się sprawą ewentualnej inkorporacji ziem nadodrzańskich w skład przyszłego państwa polskiego ks. Józef Poniatowski. Gdy oni mogli tylko gardłować, wódz miał osiągnięcia pozytywne w kampanii napoleońskiej. Piąte przez dziesiąte wiadomo tylko o zwycięskiej bitwie pod Szczygłowem, o kadrze uzupełniającej dla wojsk polskich i uzupełnieniu ich zaciągu we Wrocławiu, o udziale Polaków w blokadzie Ząbkowic, w oblężeniu Koźla i Kłodzka. Jak rozmieszczone były oddziały nasze po miastach śląskich od Nysy do Wrocławia? Jak zamierzał Poniatowski „podciągnąć do obowiązków powstania kraj nad Odrą?" — tego nie zbadali dotychczas nasi historycy. Wiadomo tyle, że Napoleon machnął lekceważąco ręką na jego śląski projekt, snując inne konszachty z Wiedniem.

Ale Poniatowski nie ustał. W czasie służbowych wędrówek po kraju i pobytu w Opolu, gdzie kwaterował zapewne na Zamku, szukał zetknięcia z ludem. Musiał coś wiedzieć o tym z tradycji domowej poeta Norbert Bonczyk. Stara Leśna, jedna z figur jego eposu prawi:

A mnie wojna nie dziwna! Znałam Kutuzowa,
Znałam Poniatowskiego, a to dzielne głowa
Ale zginął w Sroce...

Wtenczas zapewne zetknął się gdzieś w Opolu czy na prowincji z polskim generałem młody kleryk ewangelicki, zapamiętał na całe życie to spotkanie, które go utwierdziło na dalszą działalność na rzecz repolonizacji Śląska. Śmierć nagłą a osobliwą przepowiedziała księciu już za młodu cyganka we Wiedniu: „Eine Elster wird dich morden!" Śmiał się książę z kompanią z wróżby, bo gdzieżby sroka moiściewy? Dopiero w czasie bitwy pod Lipskiem, na widok zbełtanych nurtów Elstery, musiała mu przyjść na myśl.

Wśród wydarzeń roku 1814, gdy go towarzysze nieśli spod Lipska na własnych barkach, gdy go składano w krypcie wawelskiej, aby królom był równy, jedna przed innymi wieść rozniosła się echem najdalszym po całym kraju: o mowie, jaką nad trumną wygłosił minister oświecenia, Stanisław Potocki.

WZGARDZONY KUNSZT i JEGO MISTRZ

Sztuka ozdobnej wymowy, wymagająca i talentu i pracy usilnej dawała swym adeptom ongi dużo zwycięstw na sejmach, sejmikach i zjazdach sąsiedzkich. Romantyzm przepędził ją ze szkoły i z życia, mimo to ostatni mówcy i retorowie schodzili z pola dumni: Jeśli Warszawa lat trzydziestych przeszła w tak znacznej większości do obozu przeciwników romantyzmu, sprawiły to głównie efektowne, po aktorsku wystudiowane występy Ludwika Osińskiego; ekonomista polityczny europejskiego rozgłosu, Fryderyk Skarbek, należał do mówców najchętniej słuchiwanych, ale obu prześcignął Potocki. Uważano, że to jeden z najdorodniejszych owoców na drzewie kultury polskiego oświecenia: nie to tylko, że postępowy, bardzo zasłużony dla rozwoju szkolnictwa minister oświaty w Księstwie Warszawskim i Królestwie Kongresowym, ale pisarz wzięty, autor powszechnie czytanego dzieła: „O wymowie i stylu" (1815), które stanowiło biblię-wyrocznię dobrego smaku. Należy pamiętać, że estetyka początków XIX stulecia wierzyła w jeden dla wszech narodów jednakowy kanon piękna. Pisarze, czytelnicy, malarze, skulptorzy i amatorzy sztuk pięknych przestrzegali pilnie recepty na piękno, przepisów dobrego gustu. Byli niezwykle szczęśliwi, jak nigdy przedtem i potem, wiedząc doskonale, co im się ma i może podobać a co jest brzydkie i podziwiać go absolutnie nie wolno. Stanisław Potocki był jedną z trzech wyroczni dobrego gustu w Warszawie. Minister wszechwładny za rządów W. Ks. Konstantego, literat u szczytu powodzenia, powtórzył na wiosnę 1816 roku w warsz. Towarzystwie Przyjaciół Nauk i wydrukował w jego rocznikach mowę wygłoszoną ongi w krypcie wawelskiej. Zbudowana misternie, wedle wszelkich reguł wymowy w dobrym stylu, zyskała, choć długa, poklask powszechny. Udzielał się też jako zręczny polemista, gromiący zacofańców i obskurantów, czyli, jak wołał: reprezentantów duchowego wstecznictwa i zabobonów. Po kilkuletnim przygotowaniu artyleryjskim przeszedł do szturmu generalnego.

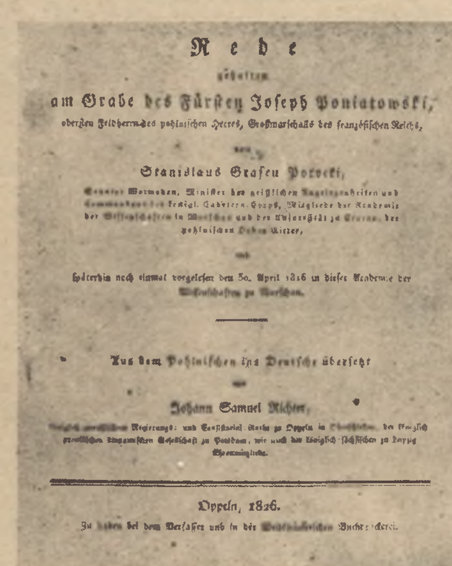

Rede
gehalten
am Grabe des Fürsten Joseph Poniatowski,
obersten Feldherrn des pohlnischen Heeres, Großmarschalls des französischen Reichs,
von
Stanislaus Grafen Potocki,
[illegible]
wiederholt noch einmal vorgelesen den 30. April 1816 in dieser Akademie der Wissenschaften zu Warschau.
Aus dem Pohlnischen ins Deutsche übersetzt
von
Johann Samuel Richter,
[illegible]
Oppeln, 1826.
Zu haben bei dem Verfasser und in der [illegible] Buchdruckerei.

Podobizna karty tytułowej wydanego w Opolu w roku 1826 niemieckiego przekładu mowy Stanisława Potockiego nad grobem księcia Józefa Poniatowskiego.

ROZCHWYTYWANA KSIĄŻKA

Pierwszy tomik Mickiewicza ani w drobnej części nie wywołał tego zainteresowania co „Podróż do Ciemnogrodu" St. Potockiego (1820). Był to ostry pamflet powieściowy przeciw duchowieństwu katolickiemu, które występuje w powieści pod postacią wschodnich bonzów. Cóż kiedy zręcznemu polemiście brakło szerszego oddechu. Pozbawiona fabuły, intrygi, siły wyrazu, „Podróż do Ciemnogrodu" nie sięgła nie tylko wyżyn Woltera czy Diderota, ale nużyła i nudziła już po kilkunastu stronnicach. Może współcześni odczuwali jakieś osobiste inwektywy w tym pamflecie, którego jedynym dla potomnych konceptem pozostał żwawy tytuł. Zelżony obóz katolicki zdobył się rychło na ripostę, napisaną przez księdza K. Surowieckiego: „Świstak warszawski wyświstany" (1821). Krytyk ujawnił zalety obce Potockiemu: cięty dowcip, sarkarzm i temperament polemiczny. Obrzucił ministra stekiem wulgarnych obelg, nazwał bezczelnym bajarzem, filutem i warszawskim „pierdołą". Powodzenie niemniejsze zyskał niż napastnik. Wielkorządca Kongresówki zacierał ręce w obliczu tej awantury. Atak katolików na obóz postępowy był wodą na jego młyn, uderzał w groźnych, znienawidzonych przez Konstantego wolnomularzy majora Łukasińskiego! Za obrazę urzędującego ministra oświaty przeniesiono wprawdzie mnicha Surowieckiego do innego klasztoru, ale Potocki poniósł karę dotkliwszą: dostał dymisję. Polska straciła gorliwego niezastąpionego sternika oświaty. Potocki, ścigany nienawiścią kleru, widząc, że duch Ciemnogrodu zwyciężył w walce, rozchorował się i umarł w goryczy wkrótce (1821).

PÓŹNE ECHO W OPOLU

Gdy na grobie zaszczutego wolterianisty już dobrze trawa porosła, przypomniał sobie te odległe i przebrzmiałe sprawy swej młodości J. S. Richter w Opolu. Radca rejencyjny i konsystorialny był już siwą powagą i szyszką, członkiem honorowym wielu towarzystw naukowych w Niemczech. Nieustającym jego sugestiom w sprawie śląskiej rząd centralny nie bardzo jak dotąd ucha podawał. Chociaż pruskie ministerstwo oświaty Altensteina, poparte autorytetem namiestnika Wielkopolski wpływowego jeszcze Radziwiłła, wydało rozporządzenie o popieraniu języka ojczystego w szkołach, ale w Rejencji Opolskiej jeszcze ono nie zaczęło działać. O równouprawnienie z Poznaniem na tym polu poszedł w niełatwy bój Johann Samuel.

Tymczasem jednak ogłosił drukiem w oficynie rządowej w Opolu swój przekład mowy Potockiego nad grobem ks. Józefa w Krakowie. Warto posłuchać, co miał do powiedzenia tłumacz swym ziomkom w przedmowie:

Na pochwały spotykające w tej mowie księcia Poiatowskiego zasłużył on w zupełności. Ci, co go znali osobiście, a byłem też w ich rzędzie, przyznają mi słuszność z pewnością. Wszelako sama mowa zasługuje, by ją publiczność nasza przyswoiła sobie w języku ojczystym nie tylko ze względu na treść historyczną, ale wybitnie piękny styl, w jakim ją napisano.

Cóż za elegancja w wyrazie! I piękny dobór obrazów, porównań! A jej siła określeń, widoczna wszędzie w tej wspaniałej mowie! Jeśli jako tłumacz świadom jestem, że nie udało mi się w zupełności osiągnąć znakomitego piękna oryginału, to jednak natrudziłem się uczciwie, by wzniosłe myśli autora, by wspaniałą budowę okresów odtworzyć najdokładniej wedle wymagań jeniusza mowy niemieckiej...

Jeżeli przy tej sposobności moi ukochani rodacy niemieccy oprócz korzyści duchowej nabiorą również przekonania, że Polacy klas wykształconych wydają nie tylko mężów znakomitych, lecz że też ich język nie ustępuje żadnemu innemu z europejskich i żadną miarą nie zasługuje na tę pogardę, z jaką oceniają go dotychczas ci co go nie znają, wtenczas cel mój osiągnę i będę sowicie wynagrodzony za trud...

W maju 1826 zapalisty Richter podpisał przedmowę, po czym z prowincjonalnej drukarenki wyszedł w świat piękny in 4-to druk. Ale nie daleczko zawędrował, wyłączony z niemieckiego obiegu księgarskiego. Drukarz Weilshauser i tłumacz sprzedawali rzecz w prenumeracie po 7 i pół srebrnego grosza. A potem ci, którym bardzo zależało, postarali się, aby ta przeciwna tak dalece niemieckiej racji stanu publikacja stała się białym krukiem, nieznanym nawet zawodowym szperaczom. Trafem odszukał egzemplarz w Opolu Roman Horoszkiewicz. Niemcy zaszczuli Johanna Samuela tak, jak ziomkowie Potockiego...

KAJETAN STOPA

Wśród CZASOPISM

Pochwała dzienników krakowskich i co z tego wynika.

Wielu ludziom zdarza się po wojnie, że oddzielając piękno i nawarstwione z wiekami bogactwo kulturalne miasta od jego życia na co dzień i tego, co próbujemy nazwać atmosferą, — nie lubią Krakowa i nie tęsknią za dłuższym w nim pobytem. Do grona tych ludzi zalicza się po części i piszący te słowa, ale stare sentymenty działają, więc trzeba podtrzymywać kontakt z miastem przynajmniej przez jego prasę. Ale pochwała, którą tu zamierzyłem wygłosić, nic już nie ma wspólnego z sentymentami. Jest obiektywna i uzasadniona. Bo trzeba sobie powiedzieć, że poza kilkoma i to nielicznymi wyjątkami dzienniki wychodzące w różnych wielkich miastach Polski redagowane są bardzo mizernie: szablonowo, bez żadnej inwencji, a czasem wręcz niechlujnie, bez troski o zainteresowanie czytelnika i kształtowanie jego opinii. Już na pierwszy rzut oka widać w takich dziennikach, że cała praca redakcyjna polega na przystrzyganiu materiałów agencyjnych i nadesłanych komunikatów. A już zgoła fatalnie i żenująco prezentują się t. żw. popołudniówki czyli wydania „wieczorne". Dlatego wydaje mi się, że obok czołowych dzienników stolicy Kraków ma najlepszą prasę. Mam naturalnie przede wszystkim na myśli *Dziennik Polski* i *Gazetę Krakowską*, będącą organem Wojew. Komitetu PZPR.

Ale uwidoczniona w tytule tego przeglądu pochwała zmierza w pewnym określonym kierunku. Ma ona na celu podkreślenie faktu, że obydwa wymienione dzienniki krakowskie dystansują wiele pism codziennych w Polsce w uwzględnianiu spraw kultury czyli inaczej mówiąc górują nad masą dzienników w Polsce samodzielnie i na własny sposób prowadzoną pracą w upowszechnianiu kultury poprzez prasę. Widać to w uwzględnianiu spraw kulturalnych w normalnej treści dziennika, w doborze powieści do odcinka, a przede wszystkim w wyodrębnieniu tych zagadnień w osobne działy w formie obszernych i starannie redagowanych dodatków. Z tych dodatków szerszą sławę ma dodatek *Dziennika Polskiego*, który wychodząc częściowo jako samodzielny tygodnik pod nazwą *Dziennika Literackiego* znany jest w całej Polsce jako najpopularniejsze i najtańsze pismo literackie. *Gazeta Krakowska* stworzyła również sześciostronicowy (a więc jak na objętościowe możliwości naszych dzienników — duży) dodatek poświęcony nauce, literaturze i sztuce pt. *Echo Tygodnia*.

Obydwa dodatki różną się od siebie znacznie i to jest właśnie dobre, gdyż świadczy o chęci obydwu stron odbiegania od szablonów i schematów ułatwiających a zarazem psujących robotę kulturalną. *Echo Tygodnia* jest szersze w swych zainteresowaniach i w dużej mierze nastawione na pożyteczną i związaną z aktualnymi sprawami publicystykę kulturalną, podczas gdy *Dziennik Literacki* po zmianach przeprowadzonych w lutym br. stara się być przede wszystkim pismem popularyzującym zagadnienia sztuki i literatury. Chyba tylko względy opłacalności sprawiły, że uszczuplono go o dwie kolumny, co przy rozmiarach jego kolumny jest dużą stratą i niewątpliwie utrudnia redagowanie pisma o tym charakterze i takiej linii redakcyjnej. W *Dzienniku Literackim* informacja bieżąca i publicystyka na tematy kultury schodzi na plan dalszy. Pozycje pierwsze zajmuje popularyzacja klasycznych pisarzy i ich dzieł (polskich i obcych) oraz popularyzacja sztuki i muzyki prowadzone w stałych cyklach. Pożytecznym dopełnieniem tych cyklów jest szpalta encyklopedyczna, której komentarze wiążą się zawsze ściśle z treścią numeru. Z innych zagadnień, które *Dziennik Literacki* interesują przede wszystkim, to teatr i formy upowszechniania kultury. Tu ukazuje się najwięcej sprawozdań pisarzy z kontaktów z placówkami kulturalnymi w terenie.

Echo Tygodnia zainteresowaniami swymi obejmuje w dużym stopniu zagadnienia nauki i to nie tylko z dziedziny humanistycznej, ale popularyzacji dawnej i nowszej literatury nie zaniedbuje, znajdując również odpowiednie miejsce dla muzyki i sztuk plastycznych, dla poezji i prozy, dla satyry i humoreski. Niewątpliwie dużą atrakcją tego dodatku jest cała kolumna humoru, gdzie przeważa humor oryginalny i świeży, nowe fraszki, epigramaty, obrazki humorystyczne itp.

W tych komplementach pod adresem krakowskich dzienników i ich dodatków literackich tkwi cierń zazdrości. Żyję bowiem w takim mieście, które mając dwa potężne dzienniki, obejmujące swym zasięgiem szerokie połacie zachodniej i centralnej Polski, spraw kultury i literatury szukać musi niemal wyłącznie w periodykach literackich i w dziennikach innych miast. Żyję w meście, w którym żaden z tych dwóch dzienników nie uważa ani za swój obowiązek, ani za sprawę swej ambicji prowadzenia szeroko pojętego i samodzielnie redagowanego dodatku poświęconego sprawom literatury, sztuki i kultury w ogóle. Dzienniki owe wyraźnie nie życzą sobie zorganizowanej i stałej współpracy literatów, wyraźnie ich lekceważą i wyraźnie nie doceniają ich możliwości. Poza tym nie wiadomo dlaczego zdaje się im, że ich czytelnicy to przysłowiowe „ciemne kmiotki", które potrzebują tylko takiej lekkiej lektury, która spływałaby po ich umysłach jak znów przysłowiowa woda po psie. Boją się wierszy, boją się prozy, boją się współpracy redakcyjnej literata i zapychają przeznaczone teoretycznie na kulturę kolumny standartowym materiałem agencyjnym, a najczęściej po prostu byle czym.

Możemy więc śmiało powiedzieć, że w zakresie upowszechniania kultury przez prasę, w zakresie popularyzacji spraw literatury, sztuki i nauki dzienniki katowickie nie spełniają w stosunku do swoich czytelników tych zadań, jakie prasie dzisiejszej stawia się pod tym względem. Przez to źle reprezentują swoje środowisko, które ma w pewnych dziedzinach poważne ambicje kulturalne, zubożają je i w niewielkim tylko stopniu przyczyniają się do jego rozwoju.

Krakowskie dodatki literackie do dzienników wskazują jeszcze na inną ambicję środowiska: utrzymania w nim literatów, dania im szerszych możliwości drukowania na miejscu bez potrzeby zbyt częstego uciekania się do pism wychodzących gdzie indziej, słowem stworzenia im pewnych warunków działalności l i t e r a c k i e j, co nie zmuszałoby ich do uciekania się do zarobków niewiele mających z literaturą wspólnego. Dzienniki katowickie tej ambicji nie mają. Po prostu nie życzą sobie literatów. Wprawdzie literaci jakoś się bez nich jeszcze obchodzą, ale fakt ten nie jest niestety czymś, co Katowicom przynosiłoby zaszczyt. (ki)

W następnym numerze fragment scenariusza filmowego o Chopinie Stanisława Hadyny.

KU ZJEDNOCZENIU

Byłoby zaniedbaniem i przeoczeniem nie do darowania, gdyby na łamach „Odry" nie było wzmianki o fakcie **połączenia „Towarzystwa Przyjaciół Mazurów i Warmiaków" z „Polskim Związkiem Zachodnim".**

Myśl wcielenia „Towarzystwa Przyjaciół Mazurów i Warmiaków" do „Polskiego Związku Zachodniego" rzucił wiceprezes krakowskiego Okręgu Polsk. Zw. Zach. ks. ppłk. mgr Henryk **Weryński**. On też przewodniczył Walnemu Zebraniu Towarzystwa Przyjaciół Mazurów i Warmiaków, na którym zapadła uchwała połączeniowa.

W deklaracji połączeniowej czytamy m. in: „**pragnąc wzmóc swą działalność**, skierowaną na niesienie pomocy dla Warmii i Mazur. oraz roztaczania opieki nad ludnością tamtejszą, Towarzystwo Przyjaciół Mazurów i Warmiaków w Krakowie przystępuje do Polskiego Związku Zachodniego.

W ramach ogólnopolskiej organizacji Polskiego Związku Zachodniego pragnie Towarzystwo Przyjaciół Mazurów i Warmiaków znaleźć **mocne oparcie i ułatwienie dla rozwinięcia swej dotychczasowej pracy dla dobra Mazurów i Warmiaków.** Przeświadczenie to opiera się na tym, że obie organizacje podlegają ten sam kierunek działania i ten sam zasadniczy cel to jest dbałość o harmonijny i szybki rozwój Ziem Zachodnich, o najpełniejsze zjednoczenie ich z Macierzą o sprawiedliwy i pozytywny stosunek do ludności miejscowego pochodzenia.

Uznając jako zasadniczy postulat dzisiejszej pracy społecznej **konieczność łączenia wysiłków pokrewnych organizacyj**, Towarzystwo Przyjaciół Mazurów i Warmiaków przyłącza się do Polskiego Związku Zachodniego, **jako tej organizacji, która jest wykładnikiem polskiej pracy społecznej na odcinku zachodnim i północnym".**

Zaznaczyć należy, że łączące się dziś z Polsk. Związkiem Zachodnim Towarzystwo P. M. i W. wykazało **w ostatnim roku** sprawozdawczym — mimo braku odpowiednich funduszów — poważne wyniki propagandowe. I tak: Zebrało z górą **4.600 książek** i przekazało je młodzieży na Mazurach i Warmii, przyjęło **pięć wycieczek** młodzieży tamtejszej, zorganizowało **szereg imprez propagandowych i odczytów.**

Walne Zebranie Towarzystwa, które przekształciło się obecnie na Sekcję Polsk. Związku Zachodniego, wybrało jednomyślnie ob. Tadeusza **Szukiewicza** prezesem, a ob. M. Łuszczakównę sekretarzem tej sekcji.

*

Na marginesie dokonanej fuzji nasuwa się pytanie: czy w imię dobra ogólnego i dla zapewnienia głębszego nurtu pracy **nie powinno nastąpić połączenie Ligi Morskiej z Polskim Towarzystwem Zachodnim?**

Ks. **Weryński** propaguje ten projekt bardzo gorąco na terenie Krakowa, wychodząc z tego założenia, jakiemu dali wyraz członkowie byłego Towarzystwa Przyjaciół Mazurów i Warmiaków w cytowanej powyżej deklaracji, gdy stwierdzają, że: Polski Związek Zachodni jest organizacją będącą wykładnikiem polskiej pracy społecznej **na odcinku zachodnim i północnym.**

Odra — Nysa — Bałtyk łączą się ze sobą nierozdzielnie. Tak nierozdzielnie również **powinny się spleść wszystkie prace i zabiegi organizacyjne, wiążące się z Ziemiami Zachodnimi, Pomorzem i Morzem.**

Należałoby sobie życzyć, aby Liga Morska — idąc za przykładem Towarzystwa Przyjaciół Mazurów i Warmiaków — wyciągnęła bratnią dłoń do Polskiego Związku Zachodniego, jednocząc swój dorobek i swoje długoletnie doświadczeni w zgodnym, wspólnym rytmie pracy.

Jesteśmy głęboko przekonani, że całe społeczeństwo polskie przyjęło ten piękny i wysoce obywatelski gest Ligi Morskiej z ogromnym uznaniem.

Gest, który sugerujemy Lidze Morskiej, nie miałby — oczywiście — charakteru odosobnionego. Wprost przeciwnie.

To, czego życzymy sobie na odcinku pracy na odcinku zachodnim i północnym, pojmujemy jako **wstęp do wielkiego dzieła zjednoczenia i ujednolicenia głównych działów pracy kulturalno-społecznej.**

Krzysztow Wojsław

Kronika teatralna

Scena z Aleksandra Kornijczuka „Makara Dubrovy", wystawionego na zakończenie sezonu teatralnego w Katowicach.

Krótkie spięcia

Ni z tego ni z owego

To będzie jeszcze raz o górach. Trudno — jakoś się tak składa, że ów temat jest specjalnie „podchodzący". Prawdopodobnie z uwagi na sezon, a też i dlatego, że właściwie górami mało kto się zajmuje (naturalnie w sensie analitycznym). Morze ma pod tym względem sto razy większe powodzenie. O morzu pisze się i mówi ciągle, oraz uplastycznia się je na wszelkie sposoby. Mamy już wyhodowaną całą plejadę marynistów, wcale zresztą udanych, z wszelkich rodzajów dyscyplin artystycznych, mamy obszerną literaturę morską itd. — w ogóle morze jest, jak się to mówi, na tapecie.

Nie jest to absolutnie żaden dziwny ani nienormalny objaw. Wprost przeciwnie — zupełnie naturalny. Morze jest potrzebą, morze jest koniecznością, bez morza rzeczywiście naród i państwo z trudnością tylko mogą żyć. Zainteresowanie się więc morzem całego społeczeństwa jest zwłaszcza w naszych warunkach czymś, co nie wymaga żadnego uzasadnienia ani próby tłumaczenia.

Góry natomiast, to już jest kwestia wrażliwości, w pierwszym rzędzie estetycznej. O ile więc morze jest potrzebą, to góry są w zasadzie tylko przyjemnością, a właściwie, prawdę powiedziawszy, nawet pewnym luksusem (jeśli chodzi o zainteresowania ludzkie).

Wynika to z mnóstwa przyczyn, a dowodem na ową teorię „luksusu" jest choćby fakt, że góry człowiek odkrył niesłychanie późno. Po morzu już żeglował i z morza korzystał od wielu tysięcy lat, zanim spojrzał na góry jakimś innym wzrokiem, takim, można powiedzieć, dzisiejszym. Góry przerażały go i odstręczały, i dlatego człowiek nawet tych gór nie widział, to znaczy — nie umiał po prostu ich dostrzec. Weźmy na przykład malarstwo średniowieczne, renesansowe i późniejsze. Góry, które widzimy na obrazach nawet najsławniejszych ówczesnych mistrzów, nie są wcale górami. To są raczej jakieś fantazje zbliżone do koszmaru, a jak najbardziej odległe od rzeczywistości. Szczyty dziwacznie powykręcane, stoki nieprawdopodobne, a piramidę czy stożek w kształtach gór zastępuje przeważnie forma walca i to zwykle fantastycznie kaducznego.

W górach nie dostrzegano zupełnie piękna. Jeszcze w XVIII wieku panoramy górskie są rysowane czy malowane pod postacią równorzędnych głów cukru, przypominających śpiczaste babki z piasku, a co zupełnie nie było dowodem braku techniki rysunkowo-malarskiej ani wyczucia perspektywy (inne przedmioty czy postacie na tych obrazach są zachwycająco realistyczne), lecz tylko niemożnością dopatrzenia się w krajobrazie górskim takich czy innych walorów estetycznych.

Dopiero właściwie przełom wieku XVIII i XIX otwiera ludziom oczy na góry i zachęca do ich właściwego poznania i zrozumienia, a co znajduje swój wyraz nie tylko w turystyce i literaturze, lecz przede wszystkim w plastyce. Góry na obrazach stają się wreszcie prawdziwe.

No tak, ale właściwie o co chodzi? — śmiało ktoś teraz może zapytać. Chodzi o to, że nasza tematyka literacka a także i malarska jakoś ostatnio zupełnie odwróciła się od gór. Jeszcze Tatry budzą jakie takie zainteresowanie, Beskidy już znacznie mniej, ale góry Ziem Odzyskanych? Co słychać w literaturze i w plastyce z Sudetami, z Karkonoszami, z Górami Sowimi i tak dalej i dalej? Zdaje się, że nic.

Oczywiście nie jest to, broń Boże, jakieś rozdzieranie szat, ani wołanie na alarm, tylko tak sobie, ot przypomnienie dla tych wszystkich, którzy tego lata przebywają lub bywali w rozmaitych Karpaczach czy Szklarskich Porębach, a którzy są czy będą w poszukiwaniu tematu.

Proszę bardzo — temat czeka.
NIEJAKI X.

Encyklopedia Odry

Śpiewajta esce

Niedzica (około roku 1670).

Nad rzeczką o indoeuropejskiej nazwie „Nida", nieopodal odwiecznego polsko-pruskiego kordonu, wśród lśniących jezior, u podnóża prastarych gór „Weneckich" czyli Złotych, rozsiadło się miasteczko mazurskie, dziś mocno okaleczone, przed dwoma laty przezwane Nidzicą. Długosz i inni „Starzy" znali tylko „Nibork" albo „Nidbork", związany z wojnami Jagiełły i Kazimierza Jagiellończyka.

Czoło wyniosłej „góry", oplecionej romantyczną legendą o niborskiej pannie, ukoronowali Krzyżacy potężnym grodem, z którym — mimo zniszczenia, jakiemu uległ w czasie ostatniej wojny — przetrwały resztki polskiego wiązania muru oraz szczątki fresku, przedstawiającego bitwę pod Grunwaldem.

Prawo miejskie nadał Nidzicy w 1381 r. sławny Winryk von Kniprode, nie tylko miłośnik i założyciel grodów, ale i winnic. Że na stokach „góry" niborskiej powstały winnice, świadczyć ma dzikus z winną latarostą utrwalony w herbie miasta. Tym oto „dzikusom pruskim", autochtonom, niemieccy rycerze zakonni, imponujący panowie, kazali uprawiać szlachetną roślinę, dostarczycielkę boskiego trunku. A kiedy w chłodnym klimacie wyhodowane grona usta wykrzywiały cierpkim kwasem, osadzono nieopodal zamku bartników mazowieckich, aby miodem przez nich dostarczonym można było smak wina neutralizować.

Przepędzono Krzyżaków w wieku XVI — niborskie winnice poszły w zaniedbanie i zapomnienie... Miasteczko natomiast stało się ośrodkiem polskiego ruchu umysłowego.

Jan Radomski, „minister zebrania niborskiego" czyli duchowny protestancki, nabiera rozgłosu jako pisarz polski, jest w kontakcie z protegowanym przez Olbrachta, księcia w Prusiech, autorem pierwszego polsko-łacińskiego słownika, Janem Mączyńskim.

W roku 1574 założona szkoła znajduje się na wysokim poziomie, a niejeden z jej wychowanków wyjeżdża na studia do Uniwersytetu Królewieckiego, posiadającego prawa Akademii Jagiellońskiej.

W XVIII wieku sława szkoły nidzickiej rozchodzi się nie tylko po byłych Prusiech Książęcych, ale Królewskich i Polsce. Za rektorów: Czernickiego i trzech Krupińskich zjeżdża się młodzież z Gdańska, Królewca, Elbląga i dalszych miast, celem wyuczenia się języka polskiego.

Działa tu i umiera w 1741 roku Jerzy Wasiański po dokonaniu ostatniej korekty swego słynnego polskiego kancjonału, który stał się tak popularny, że go przez dwa wieki noworodkowi kładziono jako talizman do kołyski, a nieboszczykowi do trumny.

W roku 1807 podciągnęły legiony Dąbrowskiego i Zajączka — mieszczanie niborscy rozwarli bramy i gościnnie przyjęli „braci" (za co potem srodze odpokutowali) a liczni stacjonujący w pobliżu „Towarzysze" (polskie oddziały uformowane w Nowych Prusach Wschodnich) gremialnie przystawały do Legionów.

Posiadała Polska przyjaciela w osobie nieborczanina Ferdynanda Gregorowiusza herbu Jasieńszyk, z rodu Grzegorzewskich pochodzącego, który za wspaniałą monografię Rzymu otrzymał honorowe obywatelstwo Wiecznego Miasta.

Na Garncarskiej górze, starożytnym siedlisku polskim, od XVIII wieku Karpowiczowie, Nadrowski, Zalewski — trudnili się wykonywaniem kafli barwnych, zdobionych scenami rodzajowymi z życia potocznego, motywami ludowymi i polskimi napisami. Szczycą się nimi Muzea Mazurskie: w Olsztynie i Szczytnie (byłe Muzeum Mazurskie w Działdowie posiadało 120 sztuk kafli).

Polskie napisy trwały mimo terroru... Jeszcze w 1932 r. złożono w Muzeum Nidzickim zabraną garncarzowi na rynku w Nidzicy glinianą misę z napisem: „Marychno, daj kapusty, po kapusty cłojek tłusty".

Nie zdołali nacjonaliści wschodnio-pruscy wyplenić mowy polskiej: jeszcze w roku 1934, kiedy wycieczka młodzieży z Działdowa, wracająca z pól Grunwaldu, korzystając z uszkodzenia ciężarówki, poczęła śpiewać pieśni rodzinne, tłumy zgromadziły się na rynku w Nidzicy, oklaskując i wołając: „Śpiewajta esce". A nikt z Niemców nie odważył się zaprotestować i przeszkodzić...

Emilia Sukertowa-Biedrawina.

Berlińskie prapremiery

(Dokończenie ze strony 2)

Legal, dał jej staranny kształt sceniczny. Każda z 39 (!) ról posiadała własny profil.

Na zakończenie nie od rzeczy będzie dać krótki przegląd repertuaru teatrów berlińskich w ostatnim czasie w zakresie sztuk zagranicznych.

Największym sukcesem sezonu było przedstawienie komedii Aleksandra Ostrowskiego pt. „Głupstwo popełnia nawet najmądrzejszy" w teatrze przy Schiffbauerdamm. Była to druga sztuka genialnego dramatopisarza rosyjskiego, jaką widział Berlin po wojnie. Nawet prasa nienastrojona proradziecko wyrażała sztuce gorące pochwały i stawiała Ostrowskiego na równi z Molierem. Inscenizował ją Aribert Wäscher.

Wartościowe przedstawienie dał Teatr Niemiecki wystawiając komedię „Czajka" Czechowa. Ale właśnie w związku z tą wielokształtną i wieloznaczną sztuką krytyka stwierdzała, że w Berlinie brak zespołu, który by mógł ją oddać w sposób należyty. Reżyser Willi Schmidt dał kopię słynnej moskiewskiej inscenizacji Stanisławskiego z roku 1898, lecz podkreślał silniej melancholię, aniżeli ironię z jaką Czechow nakreślił poszczególne charaktery dekadenckiego towarzystwa.

Dydaktyczne walory, mniej zaś artystyczne posiadała ośmio-obrazowa sztuka Augusta Jakobsona pt. „Bracia Kondor", wystawiona w teatrze przy Schiffbauerdamm oraz pięcioaktowa sztuka Konstantyna Treniewa pt. „Liubow Jarowaja" wystawiona w Domu Kultury Związku Radzieckiego.

Brak miejsca nie pozwala nam już na omówienie choćby kilku słowy innych sztuk zagranicznych wystawionych ostatnio w Berlinie. Można je tylko wymienić, a mianowicie: „Jak wam się podoba" Szekspira, „Simone i pokój" Georgesa Rolanda oraz „Szklaną menażerię" Tennessee Williamsa. Szekspir był interesujący lecz nie wolny od błędów, Francuz zabawny lecz błahy, Amerykanin tylko banalny — w stylu Broddway'skiej dramatyki. Aleksander Rogalski.

Wyd. „Czytelnik", 3 Maja 12. Redaktor naczelny WILHELM SZEWCZYK. Komitet redakcyjny: Zespół „Odry", Redakcja: Katowice, 3 Maja 36 a, II piętro. Telefon 325-58. Oddziały Redakcji: w Olsztynie: Jerzy Antoniewicz, OLSZTYN, ul. Kętrzyńskiego 4; w Szczecinie: Stanisław Telega, SZCZECIN, ul. Waryńskiego 32. Rękopisów nie zamówionych Redakcja nie zwraca. Administracja: Katowice, ul. Młyńska 9, Wrocław, ul. Kościuszki 49, tel. 253. — Prenumerata mies. 60 zł, kwartalna 180 zł. Konto PKO III 4950. Ogłoszenia przyjmuje „Spółdzielnia Wydawniczo - Oświatowa „Czytelnik". Złożono i odbito w drukarni nr 9, Spółdzielni Wydawniczo - Oświatowej „Czytelnik", Katowice, 3 Maja 12. Tel. 309-73
R 019646